Stron 8 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem Cena 25 zł.

Wieś

typodnik społeczno-literacki

Rok VII Warszawa, dn. 16. VII. 1950 r. Nr 28 (259)

W NUMERZE

B. CHĘCIŃSKI — Dziadowizna. J. A. FRASIK — Wiersze.
W. KOWALSKI — Podjazdy. A. CHMIELEWSKA — Mój życiorys.
H. MICHALSKI — Kryzys czy przełom. M. N. LISTOWSKI — Żniwa.
J. BŁOŃSKI—„Pałeczka" Rudnickiego. W. ŻÓŁKIEWSKA—Literatura młodzieżowa.
W. DEWITZOWA — Piszcie dla dzieci. S. WILANOWSKI — Oto Korea!
J. MICHALSKI — Ludzie „Luźni". L. GOLIŃSKI — Sierżant Grisza
A. WITKOWSKA — O Nerudzie.

Biblioteka Uniwersytecka w Toruniu CW. 9037

WŁADYSŁAW MACHEJEK

FUNDAMENTEM KOŁCHOZU – CZŁOWIEK

Po przyjeździe ze Związku Radzieckiego znajomi chłopi na początek zadawali nam jedno pytanie: co tam w kołchozach jest najbardziej godnego uwagi, najbardziej znamiennego. Niezmiennie powtarzam: największe cudo kołchozów to człowiek radziecki, nowy typ człowieka, socjalistycznie wychowanego, socjalistycznie żyjącego. Nieraz przyjdzie mi podziwiać człowieka radzieckiego w kołchozach w różnych sytuacjach, dziś w tym pierwszym artykule chciałbym przedstawić jego „narodziny", człowieka formującego się razem z fundamentami kołchozów w ostrej walce klasowej z układami i w ostrej walce z własnymi starymi nawykami.

Zwiedziliśmy szmat ziemi radzieckiej. Historia pierwszych lat życia kołchozów zawsze miała ten sam sens — mówią kołchoźnicy — przeszkadzał nam kułak, pomogło państwo radzieckie. Żeby zwyciężyć zły los, trzeba było pokonać kułaka. Ale to mało, kułak w niejednym z naszych serc posiał nasiona wątpliwości, niejednego średniaka, zraził kapitalistycznym stosunkiem do własności i pracy. Wszystko to trzeba było uporczywie rąbać, codziennie, nieustannie w skali milionów.

Zacznijmy więc od początku — przykładami. Przysłuchajmy się opowiadaniu bezzębnego, siwiuteńkiego staruszka Ratko w kołchozie „Bolszewik" (wsi Podeszcze obwód czernichowski). Ratko opowiadał swe życie na przyjęciu delegacji chłopskich w klubie kołchozowym.

„Lniarze" z kołchozu „Kraj Rad" na swoich polach.

— Ciężkie było życie takich jak ja, a takich jak ja biedowało we wsi dziesiątki, w Rosji miliony... Ojciec miał zaledwie trzy czwarte dziesięciny, to też kułacy nazywali nas „torbiarzami". Cóż to znaczyło? To znaczyło, że trzeba było na przednówku brać worek na plecy i puszczać się na bogatsze wsie żebrząc o kawałek chleba. Nie mogło być żadnych zapasów u pracującego chłopa bo z czegóż? U pomieszczyków (dziedziców) pracowaliśmy za dziewiąty snopek — osiem snopków dla pana, dziewiąty dla siewcy i żniwiarza. Pan tymczasem przebywał w jakimś tam Capri, hulał z kobietami, a naród marł z głodu. Z tej niesprawiedliwości wyratowała nas dopiero Rewolucja Październikowa, przepędziła pomieszczyka-dziedzica, dała nam ziemię. Ale nie mieliśmy narzędzi, miał je natomiast kułak. On także miał konie. I znów groziła nam niewola. Każdy środek przeciwko niemu był zadelikatny, każda organizacja za słaba. On rósł z roku na rok i słońce zasłaniał. Skuteczną organizacją przeciwko wyzyskowi i nędzy okazał się dopiero kołchoz.

Ale nie wszystkich chwyciła od razu nowa organizacja. Wielu przede wszystkiem średniaków wyczekiwało, bało się. Zacofanie zapuściło głębokie korzenie w ich sercach i głowach. Nawet dzisiejsza stachanówka Klimenko Maryna z kołchozu „Komintern" ze wsi Hurbińce zanosiła do cerkwi świeczki, prosiła popa o zmianę losu. Niczego nie rozumiała. Kułacy straszyli ją nędzą, oliwy do złego ognia dolewał pop. Dziś Klimenko Maryna śmieje się przez łzy szczęścia. — Tyle mam zboża dzisiaj — mówi i tyle cukru, że nie wiem, co z tym doprawdy zrobić.

W kołchozie im. Woroszyłowa we wsi Antonówka (rejon warwiński) uciąłem sobie krótką, pouczającą historycznie rozmówkę ze staruszkiem Masłowem. Działo się to między jednym a drugim toastem na cześć Budowniczego szczęśliwego życia kołchoźników — Wielkiego Stalina.

— Czemu się tak długo namyślam? — zaczął Masłow od mojego pytania. Tak, tak — z wyrzutem wspomniał — ja dopiero przystąpiłem do kołchozu w 32 roku, po dwóch latach jego istnienia. Ot, wrogiem największym człowieka jest głupota. Cóż o sobie mogę powiedzieć? Miałem 8 hektarów wszystko mię wiązało z biedniakami, bo gdy koń mi padł, to musiałem krwawo zapłacić kułakowi za obróbkę ziemi. Byłem wyzyskiwany, ale zarazem „ciepłe kluski", tak jak to często bywa z chłopami. Za długo ten i ów zdobywa się na decyzję. Dopiero dostałem szturchańca i wstąpiłem...

— Jak to szturchańca? Zmuszał was kto?

Roześmiał się szeroko, szczerze z mojej podejrzliwości i przeczesał palcami z ukontentowaniem siwą jak mleko brodę, zadowolony, że mu się udało słowo.

— Tak, dobre mnie zmusiło, córka moja wstąpiła do kołchozu od razu i była dla mnie przykładem, że tam w zespole lepsze życie.

Masłow ma jednak żal do dziś dnia, że stracił dwa lata na namyślaniu się. Tak jakby się dwa lata później narodził... Powoli wycedził wino ze szklanki, przymrużył spokojne oczy i spytał sam z kolei:

— Boją się u was średniacy kolektywnej gospodarki?

— Ruszyły lody — stwierdziłem obiektywnie, ale reakcja straszy bzdurami. Nie dziwcie się więc, że delegaci chłopscy tak dokumentnie obmacują wszystko, przyglądają się wszystkiemu ze wszystkich stron. Mają na karteczkach dziesiątki pytań... Odpowiedzą na nie szczegółowo, w gromadach, które ich wysłały, szybciej przekonają chwiejnych.

— Mam czas czytać — zwierza się Masłow — wiele wyczytałem ciekawego do rozmyślań. Taki sławny pisarz Aleksander Twardowski opisuje śmieszne przypadki z okresu kolektywizacji... Śmieszne, ale niestety prawdziwe. Ścierały się wtedy różnorakie charaktery, by dać to, co teraz — dzisiejszego człowieka. W tym, co ten pisarz opisuje nie ma nic zabawnego, jest tylko nauka, że dobre stanie się wolą większości i zwycięży złe, choćby było najbardziej tradycyjne...

Był taki chłop w Rosji — opowiadał Ratko za Twardowskim — któremu się nie podobała kolektywizacja. Napisał list do Stalina... Szukaj takiego miejsca w Rosji, gdzie stare jeszcze egzystuje, jeśli to twoje szczęście — odpowiedział Stalin. Nikt cię nie zmusi do nowego, jeśli sam nie jesteś w to nowe przekonany. Dobrze — pomyślał zacofany chłop — poszukam... A to było szukanie wiatru w polu. Wsiadł na kobyłkę i począł się włóczyć od wsi do wsi. Wszędzie jednak chłopi zakładali kołchozy. Po drodze przyczepił się do niego pop-bradiaga z synem, który także szukał „szczęścia" (w tej wsi, gdzie się poznali nie było jeszcze kołchozu). W nocy pop-bradiaga zabrał chłopu kobyłkę i uciekł, a zostawił syna. Nazajutrz w tej wsi założono kołchoz. Chłop skapitulował wrócił do swojej wsi i przykro mu chyba było, tak jak mnie — dodał cicho. Że inni tworzyli nowe, lepsze życie a ja patrzyłem z boku.

Zapalił papierosa, wypuścił dym przez dziurki nosa i opowiedział znów o innym wypadku, świadczącym o zwycięstwie instynktu społecznego, kolektywnego w duszy chłopa nad egoizmem.

— Był taki średniak, który poskąpił swej pięknej kobyłki dla kołchoźnej stajni. Umyślił sprzedać ją na rynku, a kupić i oddać gorszą. Sprawa początkowo niby dobrze się ułożyła, znalazł bowiem na rynku chłopa, który poszukiwał lepszej kobyłki za wymianę za gorszą. Ma się rozumieć obiecywał dopłatę. Obaj poczęli od zwierzeń... Posiadacz ładnej kobyłki zdziwił się — kontrahent przeciwnie niż on przyjechał wymienić kobyłkę na lepszą, bo wstydził się oddawać „szkuta" do wspólnej stajni. ...Wyznanie to zastanowiło głęboko posiadacza ładnej kobyłki... Cofnął propozycję, wrócił na ładnej kobyłce do wsi i oddał ją do kołchozu.

W tym czasie, gdy przez serca jeszcze chwiejnych, jeszcze niezdecydowanych przechodziła ostra walka z nawykami, gdy w tych sercach waliły się stare pojęcia, kułak starał się zniszczyć kołchoz, wprost lub od wewnątrz. We wsiach, gdzie przed kołchozem istniał artel — w czasie istnienia artelu często ważyły się dramatycznie losy kolektywnej gospodarki. (Artel, jak wiemy, był stowarzyszeniem wspólnej uprawy ziemi). Cóż, artel często był zdany na łaskę kułaków, nie było maszyn, państwo radzieckie jeszcze biedne, budowało dopiero przemysł. Właśnie kołchoz im. Szewczenki we wsi Szusakowa (obwód połtawski) powstał z artelu, który założono już w 1923 roku. Maszyny mieli pożyczać kułacy, ale gdzie tam — sabotowali rozporządzenia (sprawa układała się mniej więcej tak samo, jak z pomocą sąsiedzką w Polsce). Solą w oku kułackim była ta pierwsza nieśmiała, artelowa emancypacja biedoty. Maszyny ciągle „były zajęte", „wczoraj stały wolne", „nie macie, to kupcie sobie". Tak dwa lata przetrwał w uporczywej walce ten lilipuci artel 53 - hektarowy. W 1925 roku państwo przydzieliło artelowi traktory. Zaznaczył się zwrot na lepsze. Lenin, pisząc o perspektywach kolektywizacji powiedział: „dajcie mi 100.000 traktorów a przekonam wszystkich średniaków o dobrodziejstwie pracy zespołowej". Kołchoźnicy w Suszakowie wspominający te słowa, byli żywym przykładem oddziaływania traktora na psychikę pracującego chłopstwa. Od 1925 roku nieprzerwanie przystępują średniacy do artelu. Siła kułaków miała się ku końcowi. W 1929 roku organizacja partyjna rzuciła hasło: rozszerzyć ramy kolektywnej gospodarki! I wtedy powstał kołchoz.

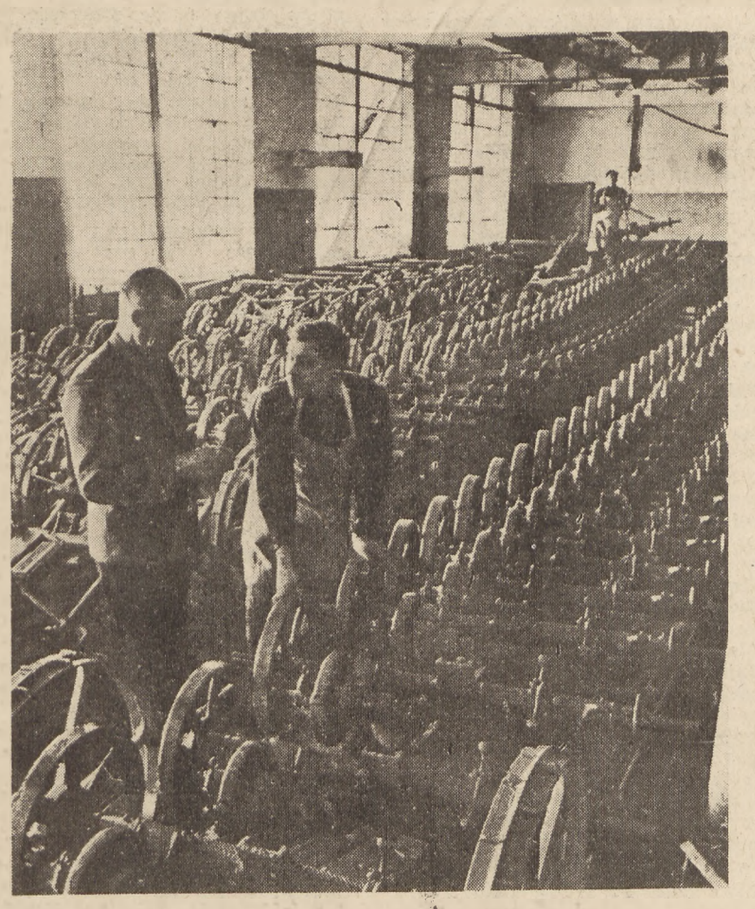

W fabryce maszyn rolniczych pod Moskwą.

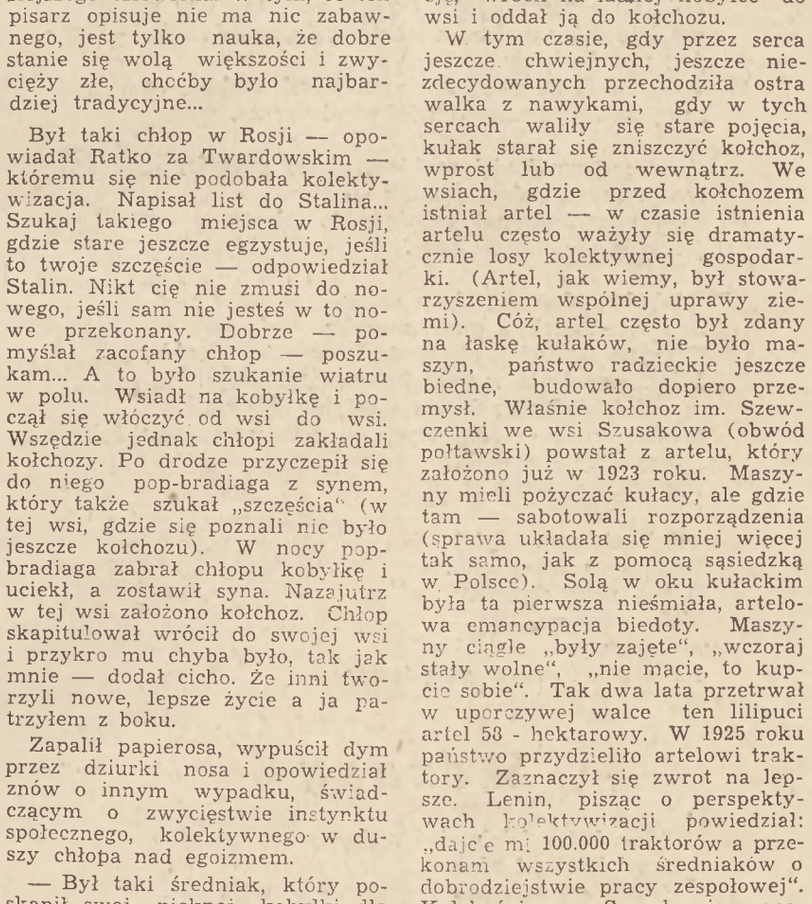

Zebranie w świetlicy kołchozu.

Takie same etapy rozwoju przechodzili kołchoźnicy we wsi Zenholówka (kołchoz im. Stalina), z tym, że kułacy długo jeszcze nie dali za wygrane. Artel przemienił się w kołchoz. Przewodniczącym został młody komunista, bohater wojny domowej. Walczył zawzięcie z kułakami broniąc dobra kołchozowego przed ich chciwością. Przeszły pierwsze żniwa, na polach stanęły pękate sterty... Pewnej nocy niebo nad Zenholówką rozświetliła czerwona łuna pożaru, paliły się sterty, paliły się zabudowania gospodarcze. Kołchoźnicy wybiegli z domostw w pogoni za złoczyńcami, na drodze napotkali martwe ciało swego przewodniczącego — padł pierwszy w obronie szczęśliwego życia. Ma się rozumieć, że potem przystąpiono do energicznej walki z kułakami, zastosowano metodę rozkułaczania. W Zenhelówce zakwitło nowe życie na gruzach. Na własnych plecach wznosili kołchoźnicy bale i kamień na budowę budynków gospodarczych, pazurami drapali ziemię. Hartowali się jak stal. I jakby stalą przeorali ziemię i zły los. Ciężkie życie i ciężką walką stoczyli także chłopi w Hurbińcach (rej. srebriański), gdzie w rękach 10 proc. dziedziców i kułaków znajdowało się 70 proc. ziemi. W kołchozie im. Szewczenki z trudem przypominają sobie, że tu gdzie stoi teraz klub — był dwór... Przeszło — zaczęło się szczęśliwe życie.

Takie były początki kształtowania się psychologii radzieckiego chłopa — aż otrzymaliśmy gotowy wzór do naśladowania. Kołchoźnik świetnie łączy dobro swoje z dobrem społecznym, które jest także jego. Kołchoźnik słuchając głosu Partii, znalazł rozwiązanie szczęśliwego życia w zgodzie pierwiastków osobistych ze zbiorowością i gospodarką kolektywną. Tym tłumaczy się sukcesy kołchozów i ich wspaniały rozwój. W kołchoźnikach żyje niezmordowana troska o coraz wspanialsze sukcesy pracy o coraz większą wydajność. Kołchoźnik jest ciągle niezadowolony z wyników. W kołchozie im. Szewczenki zwierzał mi się polowy: „osiągnęliśmy z hektara 20 q pszenicy, ale ogniwo Klaudii Łukaszewicz uzyskało plon 31 q z ha. A więc przeciętna z całego obszaru jest za niska. Musimy się postarać aby wynik Klaudii Łukaszewicz uzyskany na 8 ha, był przeciętnym na 200 ha. Więc znaczy, że my nie wszyscy jeszcze dobrze pracujemy". Tak samo skromnie myśli o sobie kołchoźnica Wilcenko w kołchozie im. Szewczenki w Iwanicach... Gdy jej gratulujemy zobowiązania osiągnięcia 500 q buraków cukrowych z ha, macha skromnie ręką. — Eh, co to jest... W Kazachstanie Olga Gonarzenko osiągnęła 1515 q z ha a teraz się bije o 1.700 q. To mi rekord... Właśnie ta niezmordowana troska o wyniki to motor powodzenia kołchozów. Ten motor gra w sercach i umysłach wszystkich kołchoźników — szybciej, lepiej, więcej. Dziś słynie na cały świat miczurinowska „pszenica przyszłości" — pszenica krzaczasta, osiągająca plon ok. 100 q z ha, ale mało kto pamięta, że prosta kołchoźnica uzbecka Muslima Bogliewa już 10 lat temu przysłała snop takiej pszenicy na ogólnokrajową wystawę rolniczą w Moskwie. Pszenica ta zaklimatyzowana przez nią samodzielnie dała już wtedy 70 q z ha. I znów ta troska o dosyt chleba dla narodu grała tu dominującą rolę. Obraz człowieka radzieckiego przedstawiony w tym szkicu nie będzie pełny, ale na zakończenie chciałbym wymienić jeszcze jedną jego cechę, która i nas podczas wycieczki złapała silnie za serce aż utkwiła łzami gdzieś w oczach. Jest nią życzliwość szeroka, przyjacielska, możliwa do zdobycia tylko przez wychowanie socjalistyczne, gdy człowiek człowiekowi przestał być wilkiem. Życzliwość ta wyrażająca się b. często w pomocy sąsiedzkiej kołchozów usuwa braki i podciąga słabsze kołchozy: np kołchoźnikom z kołchozu im. Woroszyłowa w Antonówce wydawało się, że hodowla świń w kołchozie im. Szewczenki koło Nosówki idzie nie bardzo... Wobec tego zaprosili hodowców świń z owego kołchozu do siebie, pokazali im jak się żywi świnie, by szybko przybierały na wadze itd. Rada sąsiedzka pomogła. Wypadki tego rodzaju życzliwości możnaby wymieniać w nieskończoność. Toteż

Kombajn na polach Ukrainy.

świadczy o nowym typie człowieka.

Jadąc do ZSRR, myślałem, że spotkam tam człowieka starego i nowego. W socjalizmie jednak ci starzy narodzili się poraz drugi i są młodzi jak ich dzieci. W ciągu dziesięcioleci pisarze burżuazyjni delektowali się rozdźwiękiem między „ojcami" a „dziećmi". Jak wiemy na tej marnej filozofii żerował także faszyzm. W społeczeństwie radzieckim rozdźwięk taki jest nie do pomyślenia. Z roztkliwieniem wspominamy przykłady, że zarówno ojcowie jak i dzieci ZSRR idą do wspólnych celów i kierują się wspólnymi ideałami. Mam przed oczyma starego 77-letniego brygadzistę Timczenko na 35 hektarowej plantacji machorki, rozmawiającego z młodą absolwentką liceum ogrodniczego Olgą Kudiną (kołchoz im. Szewczenki koło Nosówki). Ona mówi: — dziadźka idźcie się przespać ja sama sprawdzę rozsadę... On zdenerwowany w odpowiedzi wymachuje laską: — muszę się nacieszyć, straciłem przecież 54 lata życia, kapitalizm mi je zabrał...

Tak, wyzwolona praca niesie w kołchozach radość i dobrobyt.

Władysław Machejek

DM 571 05

BRONISŁAW CHĘCIŃSKI

DZIADOWIZNA*)

Janek Kamiński schodził z kopalni w dół. Ominął nowy piec, przepchnął na bok stojący na przejściu wózek, podstawiony pod wapno. Przez zamurowane kamery nowego pieca przebijał żar wypalającego się wapna. W szczelinach popękanego od gorąca tymczasowego zamurowania kwitł biały blask paleniska. Robotnicy spod nowego pieca otrzepywali się i wycierali twarze z wapna, prostowali plecy i uchylając jedną ręką czapek, palcami drugiej przeczesywali włosy. W ruchach ich widać było zmęczoną powolność.

Jesienne popołudnie zbiegało się z wieczorem. Słońce staczało się po zboczu drugiego wzgórza wapniowego, by zniknąć u jego podnoża, pokrywającego się z górnym zarysem dalekiego lasu. Robotnicy schodzili wolno na szosę. Nie było się teraz co śpieszyć. Co innego w południe, kiedy to w ciągu godziny trzeba było zdążyć na obiad i powrócić do pracy. Niektórzy zatrzymywali się przed sklepikiem Lachety, wchodzili na lemoniadę, lub papierosa.

Z daleka zauważył Kamiński przy zejściu na szosę młodego Pytlera i rad byłby go ominąć, lecz nie chciał już zawracać. Nie spodziewał się też, że Pytler zwróci na niego specjalną uwagę. Pytler stojąc, patrzył po przechodzących robotnikach. Wyglądało jakby ich liczył. Jego spojrzeniu w stronę Kamińskiego towarzyszył pionowy ruch daszka cyklistówki. Pod daszkiem poruszyła się wygolona i jasna twarz. Prawy kąt ust wykrzywił osobliwy grymas, mający oznaczać uśmiech.

— Jak się tam Kamiński czuje przy młodej gospodyni? — Pod wpływem wypowiadanych słów rozchylił się i drugi, lewy kącik ust. Między wargami błysnęły bielą i złotem zęby.

— Dziękuję, owszem — tak sobie, odpowiedział Kamiński. Prawą rękę uniósł bez specjalnego pośpiechu do góry i trzem apalcami uchylił lekko czapki.

— A co to zapomniał mnie Janek poprosić na wesele? — Kamiński jakby był przygotowany na podobne pytanie, bo odpowiedział bez dłuższej zwłoki. Słowom jego towarzyszyło lekko ironiczne wykrzywienie warg.

— Co by tam pan inżynier robił na chłopskim weselu? Gdy się ludzi do izby napcha, to się można udusić. Siekierę by w powietrzu zawiesił, takie gęste od smrodu.

— Bo ja to na jednym weselu we wsi byłem! Nie jest — tak źle. Lubię sobie czasami wyskoczyć oberka.

— Nie wiedziałem.

— No, nie mam pretensji do Kamińskiego. I tak bym nie miał czasu iść. Z ostatnim słowem Pytlera zmieszał się suchy trzask laski o kamień. Potrącona bryłka wapienia potoczyła się na bok z furkotem.

— Co ten cholerny kataryniarz chciał od ciebie, Janek? Z pytaniem na ustach zbliżył się do Kamińskiego Karkosz.

— Kręci tą laską jak prawdziwy kataryniarz, dodał tonem wyjaśniającym sens przezwiska.

— Pytał się, dlaczego nie zaprosiłem go na wesele.

Powiada, że lubi sobie czasem wyskoczyć oberka.

— Tak, lubi. On by jeszcze wyżej wyskoczył w łóżku, żebyś go tak bracie do kobiety puścił. Dobrześ zrobił, żeś go na wesele nie prosił. Niech wie, że w Pogórzu ludzie pomału mądrzeją. Karkosz splunął i ręką obtarł wąsy.

Chodźmy do Lachety, zapalimy jakiego papierosa. Karkosz wskazał oczami wejście do sklepiku, zatłoczone o tej porze robotnikami.

W sklepie było również pełno ludzi. Niektórzy wysupływali z kieszeni szczupłe grosze, inni brali na kredyt. Lacheta, szczupły Żydek średniego wzrostu, w wytartej marynarce, o chudej, rzadko golonej twarzy, uwijał się za ladą, nawoływał żonę i chandryczył się z klientami. Nie wszystkim chciał dawać na kredyt. Niektórzy mieli już zbytnio obciążone konta. Do takich mówił Lacheta nerwowo:

— Ja wam już więcej nie mogę dać. Nie wiem, czy mi to oddacie, coście mi już winni. Ja nie mogę zdychać z moimi dziećmi. Już i tak jestem czysty bankrut.

— No, dajcie jeszcze, dajcie, Lacheta. Mnie się nie tyle w fabryce należy. Dostanę wypłatę, to wam do grosza oddam.

— Dajcie, dajcie, a skąd ja mam brać, wpadał gorączkowo Lacheta w zdanie proszącego klienta. — Każdy mi mówi, że mu się u pana należy. Co z tego? Wy macie u pana ja mam u was, ale nikt od nikogo nie odbiera. A mnie to co, z rzeką płynie, Okalina mi niesie? Ja muszę za każdą drobnostkę gotówką płacić. Mnie nie chcą borgować.

To nie moja rzecz, co wymacie z panem. Należy wam się, niech wam płaci, starajcie się o to.

— Przecież nam musi kiedyś wypłacić.

— Ja wiem, czy musi. Kto go przymusi? Macie związek, macie partię, zaprowadzacie strajki i co z tego? Denerwujecie go tylko i nic więcej. Ja was zresztą nie będę uczył, ja sam jestem głupi na to wszystko. Mówią, że jest kryzys. Co znaczy kryzys? Dlaczego ja mam cierpieć, dlaczego moje dzieci mają cierpieć?

Przy wtórze takiego narzekania Lacheta kroił i ważył biały chleb, nasypywał w papierowe torebki mąkę, cukier, sól, zawijał w papier śledzie, ogórki, liczył papierosy, nalewał naftę do butelek, wycierał ręce i znowu powracał do mąki lub kaszy. Z ciężkim westchnieniem brał do ręki zatłuszczony brulion, wyszukiwał odpowiednią stronicę i pod nazwiskiem klienta, w długim rzędzie cyfr, wpisywał nową pozycję.

Żona Lachety, równie zaniedbana w ubiorze jak on, wychodziła co chwila z przylegającego do sklepu

Rys. Stefan Gierowski

mieszkania i pomagała mężowi w pracy. Była ona niska, okrągła i mówiła cinkim, skrzeczącym głosem. Widząc, że mąż dał się uprosić na nowy kredyt, zwracała mu uwagę:

— Znowu piszesz, znowu borgujesz? Powiedziałeś przecież, że już więcej na kredę nie będziesz dawał.

— No to mi łeb urwą, gdy im na kredyt nie dam. No, co mam robić, co mam robić? Chyba zwinąć cały ten kram.

Kramu Lacheta nie zwijał, prowadził sklepik dalej. Z każdym rokiem chudł i garbaciał. Jego sześcioro dzieci potrzebowało jeść i ubrać się. Lacheta klepał biedę z rodziną, mieszkał w jednej izbie za sklepem, w wielkiej ciasnocie. Wraz ze wzrastającą nędzą niewypłacanych należycie robotników pogarszało się i u niego. Przez wiele lat przyzwyczaił się do fabryki i ludzi fabrycznych. Znał wszystkich we wsi, a młodszym mówił zwyczajnie „ty". Zestarzał się w Pogórzu, gdzie miał szukać lepszego miejsca?

Lacheta miał średnie wykształcenie, ale nie uważał się za inteligenta. Żył jak można najprościej. między prostymi ludźmi. Ludzie mówili — Lacheta, Lacheta, pokpiwali sobie nieraz z jego żony i z niego potrochu, ale cenili jego rozum i wykształcenie. W wielu sprawach radzili się go. Pisał podania do władz, tłumaczył stare akta z języka rosyjskiego, albo listy do robotników od niemieckich bauerów. Nie chwalił się nigdy tym co umiał. Wielu analfabetów nauczył czytać i pisać, gdy jeszcze szkoły w Pogórzu nie było. Janka Kamińskiego Lacheta znał i cenił jako człowieka bystrego, który pragnie coś wiedzieć i rozumieć. Lubił z nim rozmawiać i często udzielał mu wiadomości i informacji z różnych dziedzin. Mimo, że teraz bardzo był zajęty obsługiwaniem kupujących, zauważył go z daleka. Uśmiechnął się przyjaźnie i nasypując szufelką sól do torebki, powiedział do niego.

— Co słychać, panie Janku, co nowego w polityce? — Pytanie zakończył na wpół serio na wpół żartobliwym tonem.

— Wy tam, Lacheta, lepiej wiecie, co słychać, odparł Janek zbliżając się do kontuaru.

— Nie wiem, nic nie czytałem jeszcze dzisiaj, żadnej gazety. Nawet mi się czytać nie chce. Ciągle jedno i to samo piszą. Kryzys, kryzys, bezrobocie, strajki, tak dookoła Wojtek.

Ruch w sklepie ustał. Robotnicy stali pod ścianą, lub siedzieli na ławce pod oknem, opierali się o stojące worki. Niektórzy kroili szyzorykami biały chleb piekarski i jedli go na sucho, bez niczego. Mimo to smakował jak przysmak, w porównaniu z wiejskim, kwaśnym razowcem.

— Musiałem sobie wziąć u Lachety funt kupnego chleba, mówił jakby tonem usprawiedliwienia do Karkosza. Walek Curyło. Od tego domowego koksu już mnie zgaga tak piecze, jakbym się siarki nałykał.

Niektórzy pili lemoniadę, inni palili papierosy i rozmawiali. Z rzadka przeciskał się ktoś do sklepowego bufetu. Lacheta korzystając z przerwy w sprzedaży, wsparł się na chwilę o ladę i zwracając się w stronę Janka Kamińskiego i stojących przy nim, kończył rozpoczętą przed chwilą kwestię.

— A kto winien, że jest kryzys, że bezrobocie, że strajki? Ja winicnem, albo wy jesteście winni? My nie jesteśmy winni, nam kryzys niepotrzebny. Czy ja jestem kapitalista? Ja chcę żyć jak drugi. W dziurawych łapciach chodzę, psiakrew. Lacheta podniósł oparty na blacie lady łokieć prawej ręki, pociągnął palcami bielejącą w rozdartym miejscu podszewkę rękawa.

— Niedługo łokcie wyjdą mi na wierzch z wytartej marynarki. Na nowe nie można zarobić.

— E, wy tak tylko od oka pokazujecie Lacheta. W podartej marynarce chodzicie, a dolary w skrzyni chowacie. — Karkosz próbował swoim zwyczajem zażartować z Lachety. Ten uśmiechnął się cierpko, wzruszył ramionami, odwrócił twarz w inną stronę i powiedział raczej do siebie.

— Mam dolary. Będę miał dolary, nie wiem z czego. Chyba z tego smrodu, co mi tu zostawicie. O, jest dolar, wskazał najmłodszego syna.— Są dolary, żywe. Zwrócił się teraz do chłopca i wskazując mu palcem pod nos, pytał z udaną powagą.

— No co, Heniek, nie mogłeś się równo usmarkać, tylko tak, byle jak. Chłopak zawstydził się, miał już pięć lat. Uśmiechnął się zażenowany, palcami prawej ręki przyciągnął koniec rękawa i przejechał nim pod nosem. Okręcił się na pięcie i wybiegł ze sklepu do sieni. Lacheta odprowadził go wzrokiem do drzwi. Z oszklonej gablotki wyjął dwa monopolowe papierosy, rozdzielił w palcach ich końce i jednym z nich wycelował w brodę Kamińskiego.

— Proszę, niech Kamiński zapali „Cowboy'a".

— Wy cierpicie biedę i ja przy was, powiedział znów, wracając do poprzedniego tematu Lacheta. Wypuścił smugę dymu papierosowego pomiędzy stojących przy ladzie robotników i patrzył nieruchomo za nim. Towar na półkach mi topnieje, a nowego nie ma za co sprowadzić. Nie wiem, jak to będzie dalej.

— Musicie jeszcze trochę poczekać. Niedługo będą ludzie znowu dostawać dziadowiznę, to wam zaczną po trochu oddawać.

Lacheta zwrócił teraz oczy na mówiącego Curyłę i zaraz odwrócił się z niechęcią.

— Dziadowizna, mruknął z niechęcią. Czekaj tatka latka. Wy tylko za tę dziadowiznę pracujecie. A co to, za robotę wam się nie należy? Machnął niedbale ręką, gestem tym dając do zrozumienia, że w jego pojęciu sprawa jest tak oczywista, że nie warto o niej mówić. Sklep się opróżniał. Kamiński również wyszedł. W domu czekała Józia, która wcześniej poszła z pracy.

Gospodarzyła ona teraz razem z matką Janka i jakoś się zgadzały. Józia niechętnie odchodziła z domu rodzinnego do męża. Wstyd jej trochę było ze względu na dziecko z panieństwa. Stara Kamińska odniosła się jednak do niej z serdeczną życzliwością i dziecko jej wkrótce polubiła jak prawowitego wnuka. Opiekowała się nim, aby Józia mogła nadal chodzić do pracy.

W mieszkaniu zastał Kamiński gościa. Oczekiwał go już Leon Radlik. Na jego widok podniósł się z krzesła i podszedł do Janka z otwartą prawicą. Na ustach widać było uśmiech życzliwy, a zarazem taki, który oznacza uznanie dla człowieka cennego i szczery, braterski szacunek. Nie widzieli się dość dawno.

— Widzę, żeście się towarzyszu ożenili. Winszuję wam ze szczerego serca. Czasy mamy trudne, ale przecież życie nie może stanąć na miejscu. Komu się pora żenić, ten powinien brać żonę. Jakoś się musi dać radę.

Radlik mówił ściskając dłoń Kamińskiego, równocześnie zwrócił lekko twarz ku Józi i uśmiechnął się do niej przyjaźnie. Usiedli. Przy herbacie poszła rozmowa na temat aktualnej sytuacji w Pogórzu i gdzie indziej. Radlik otworzył brązową teczkę i wyjął z niej plik gazet.

— Przywiozłem wam gazety z ostatnich dni. Rozdajcie między ludzi. Takie pisma powinny chodzić z rąk do rąk. Nie mamy takich funduszów, abyśmy mogli pozwolić sobie na masowy, bezpłatny kolportaż naszej prasy. Te składki, które zbieramy są bardzo szczupłe. Mimo to, nie wszystkich stać, aby je płacili regularnie. Macie tu również ulotki. Z ulotkami trzeba uważać, bo granatowi węszą jak psy. Trzeba je dawać w ręce ludzi bardziej uświadomionych i oddanych dla sprawy. Tacy przeczytają i treść będą umieli z pamięci propagować między mniej zaawansowanymi. Znad stosu pism podniosła się twarz Radlika okrągła i pełna, poznaczona około policzków łukowymi zmarszczkami. Nad stołem przebiegło pytanie. — Co tu u was nowego słychać? Jak się tu w ogóle przedstawiają sprawy z ostatnich dni?

— Nic się tu podczas waszej nieobecności, towarzyszu, nie zmieniło, odpowiedział Kamiński z namysłem. Wiecie, jak to u nas w Pogórzu jest. Potrzeba jeszcze bardzo dużo pracy włożyć, zanim uświadomienie przesiąknie głębiej. Przed strajkiem wszyscy się porwali. Zdawało by się, że wszyscy są oddani ciałem i duszą. To był pierwszy poryw, nietrwały. W strajku się pokazało, że ludzie nie rozumieją jeszcze wielu rzeczy. I tak jedni nie doceniali organizacji partyjnej, a drudzy za wiele od niej wymagali. Myśleli, że partia z góry, sama, bez poparcia solidarnego wszystkich potrafi zmusić fabrykanta do ustępstwa. Ci ostatni bardzo się upewnili po upadku strajku i poczęli lokceważyć organizację. To wam jest wszystko znane, towarzyszu. Oczywiście pojedyńczo coraz więcej przybywa takich, którzy zaczynają należycie rozumieć nasze sprawy. Szczególnie można liczyć na bezrolnych robotników i przybyłych z innych stron. Teraz każdy stara się, aby tylko wyrobić dni na zasiłek, a inne sprawy usuwa na bok.

Radlik słuchał cały czas spokojnie, przytakiwał, pochylając potwierdzającym gestem twarz szeroką i mądrze zamyśloną. Ze sposobu reagowania, z całej jego gestykulacji można było łatwo wyczytać, że sytuacja opisana przez Kamińskiego nie jest dla niego niespodzianką. Odstawił na bok filiżankę po wypitej herbacie i zaczął mówić. Przy pierwszych słowach począł wodzić paznokciem wskazującego palca prawej ręki po stole, jak gdyby pragnął podkreślić ich sens.

— Macie rację towarzyszu, troska o uzyskanie prawa do zasiłku prawie w całości pochłania ludzi. Oczywiście, to jest dla nich obecnie najważniejszy problem. Sprawa zabezpieczenia jakiej takiej egzystencji na okres kilku miesięcy, to jest rzecz, której w obecnych warunkach robotnik ne może lekceważyć. Pod względem organizacyjnym i politycznym panuje tu z tego powodu niejako martwy sezon. Oczywiście fabrykant na tym korzysta i nadal nie płaci. Stwarza nowe zaległości. Czy nie tak?

— Tak jest — potwierdził Kamiński. — teraz nawet nie wspomni o wypłacie.

— Podobna sytuacja jest teraz i u Wolfa w Wolnicy, tylko, że tam zaległości są mniejsze, ciągnął znów dalej Radlik. — Musimy wykorzystać nadchodzącą zimę. Czasu będzie dużo. Na wieczornych pogadankach trzeba starać się, głośno czytać pisma i broszury, aby ludzie mieli czas wspólnie, pomału przemyśleć i przedyskutować. Musimy przede wszystkim poszerzyć horyzonty poglądowe i pojęciowe w dziedzinie społeczno politycznej. Na tej podstawie będziemy dopiero mogli oprzeć skuteczną akcję.

— Robotnicy aktywniejsi, lepiej wyrobieni, powinni na każdym kroku przekonywać małorolnych i zachęcać ich do większej aktywności. Chłop małorolny jest takim samym robotnikiem jak i bezrolny. To, że ma trochę własnych ziemniaków, nie powinno go w niczym różnić od jego brata, zupełnego wyrobnika, obaj przecież pracują ciężko i połykają jednakowo wapno w kamerach fabrycznych. Często nocą wychodzą razem z workami na dworskie pole, aby powiększyć zapas ziemniaków. Bieda zmusza ich nieraz do kradzieży, a z drugiej strony do uległości. Ale równocześnie ta sama bieda buduje w nich myśl po myśli, doświadczenie po doświadczeniu, coraz mocniejsze przekonanie o potrzebie walki i zmiany porządku społecznego. To przekonanie jest na razie instynktowne i ograniczone zbyt osobistym pojęciem. Aby je przeobrazić w rewolucyjną siłę, należy świadomie organizować, łączyć z przekonaniami innych i podbudowywać naukowo — społecznym uświadomieniem.

— Chłop mało, a nawet średniorolny, który dzisiaj jeszcze nie pracuje w fabryce, powinien siebie uważać za jutrzejszego robotnika. Nie on, to jego syn będzie robotnikiem. Ziemi dla wszystkich nie starczy. Przy takich pojęciach aktywny robotnik znajdzie zrozumienie i powszechniejsze poparcie w dalszej, coraz bardziej celowej walce. Te sprawy są ważne szczególnie tu, w Pogórzu, gdzie większość robotników stanowią mało i średniorolni chłopi. Te szczupłe działki chudej ziemi, które oni orzą, nie powinny stanowić hamulca w walce o robotnicze prawa.

— Niestety, dotychczas tak było, odezwał się po dłuższej chwili Kamiński. Gdyby nie te szczupłe zagony, które uprawia większość fabrycznych robotników, ich rewolucyjne nastroje dojrzewałyby szybciej. Nie pozwoliliby się tak długo oszukiwać. Pytler robił z nimi, co chciał. Wiedzieli, że jest źle, narzekał każdy, ale w ich sprzeciwie nie było tej siły buntu, jaka przysposabia ludzi do walki. Kamiński przyswajał sobie już terminologię i sposób wyrażania się właściwy ludziom wykształconym w społecznej problematyce socialistycznej. Widać było, że nauka nie szła w las. Radlik popatrzył na niego z uznaniem.

— Tęsknoty chłopa często odrywają go od spraw i zagadnień robotniczych. Niejednemu się zdaje, że wart jest lepszej doli. Swoją pracę w fabryce uważa za przejściową konieczność i chociaż nie ma realnych widoków na osiągnięcie tego, łudzi się nieraz, że mu się los odmieni, że powiększy gospodarstwo i wtedy nie będzie potrzebował jak wyrobnik pracować w fabryce. Te chłopskie tęsknoty wypływają ze zbytniego przywiązania do kawałka ziemi i nawet niezupełnie uświadamiane, nurtują w życiowych wyobrażeniach. Dlatego też zdając sobie z tego sprawę powiedziałem i powtarzam to jeszcze raz, że ważne jest, aby u chłopa biednego wytępić te kułackie mrzonki. On musi wiedzieć, że nie ma się co łudzić nadzieją na ich urzeczywistnienie. Musi się czuć robotnikiem jak każdy inny i rozumieć, że nie wolno mu zasypiać własnych spraw i być ślepym na własny, robotniczy interes. Póki tego chłopi — robotnicy nie zrozumieją, będą bici. Fabrykant będzie żerował na ich nieświadomości.

Radlik mówił dobitnie, coraz bardziej podnieconym tonem. Tak mówią ludzie przekonani o słuszności swoich poglądów, uważający je za sprawy proste, dla każdego zrozumiałe. Uczynił pauzę, uspokoił się nieco, odetchnął i po chwili mówił dalej ciszej i wolniej.

— Na podobnych tęsknotach opiera się zresztą istnienie kapitalistycznego świata. To wielkie społeczne oszustwo utrzymuje się tylko siłą egoistycznych tęsknot społecznych. Kapitalistyczna filozofia wychowawcza ukazuje oczom głodnych stworzony ich kosztem dosyt garstki uprzywilejowanych w społeczeństwie i mówi, że to jest cel, możliwy do osiągnięcia dla każdego, że każdy ma możność zbogacić się, jeżeli tylko dołoży starań. Dzięki tej kłamliwej filozofii wielu ambitnych i zdolnych ludzi z pokrzywdzonych klas społecznych zamiast się poświęcić walce o prawa i poprawę bytu zbiorowego, marnuje swoje siły w bezcelowym uganianiu się za osobistym majątkiem, którego w większości nigdy nie zdobędzie.

— Tak, towarzysze, prosty człowiek, robotnik, chłop, powinien wiedzieć, że jego interes nie jest osobisty, jednostkowy, ale społeczny, związany z interesami tysięcy i milionów innych prostych ludzi, powiedział na zakończenie dyskusji do Kamińskiego Radlik. Miliony nie mogą być kapitalistami.

Jankowi, gdy myślał o tych sprawach, wydawało się również nieraz, że te wielkie zagadnienia, o których mądrze mówił Radlik, przymierzone do skromnych warunków, do tej mizernej sytuacji istniejącej w Pogórzu tracą swoje znaczenie. Patrząc na przeciętnego chłopa, ubranego nędznie, chudego, o cerze poczerniałej od fabrycznego dymu i niedomytej z wapna, jakże można go było posądzać o jakieś kułackie tęsknoty! Wyglądałoby to na niesmaczną ironię. Przecież prawie każdy zlorzeczył tutaj temu swojemu marnemu zagonowi, na którym zamiast plonu należytego, często tylko perz się zielenił, kwitły bławatki i czerwone maki. To prawda, że chłop złorzeczył niewdzięcznemu zagonowi, ale równocześnie chętnie by go pomnożył. Gdyby mógł w fabryce tyle zarobić, dokupiłby ziemi, aby się na niej usamodzielnić. Mimo że sam był nędzarzem, patrzył często na bezrolnego robotnika z jakimś głupim poczuciem wyższości, poczuciem posiadacza. To poczucie usypiało jego czujność na jego własne interesy robotnicze.

Janek Kamiński zdawał sobie z tego sprawę, wrastając coraz głębiej w życie wsi. Widział, jaką bojowością wyróżniała się postawa tych chłopów, którzy już szukali pracy w miastach lub innych krajach w porównaniu z tymi, którzy siedzieli ciągle na miejscu. Chłopski syn, który powrócił nawet z sezonowych robót w „Prusach" mówił o sobie, że jest robotnikiem i czuł się nim.

Bronisław Chęciński

*) Fragment powieści pt. „Czerwienią się maki", wyróżnionej na konkursie Zarządu Głównego Zw. Literatów Polskich z okazji zjednoczenia Partii Robotniczych.

Józef Andrzej Frasik

Święto

Dzieją się nowe dzieje, traktor zachrzęścił w polach
pulchne skiby pachną, a traktorzysta, przodownik — orząc
jest pieśnią czasu.
Grząskie drogi nawiedził asfalt, bruk dudni i tu
nocą zelektryfikowana wieś płonie zorzą.

Szum maszyn budzi rankiem ptasie gniazda,
motor zadymił drogę, znikł; —
auto mleczarni, gdy odjeżdża do miasta,
jest jak zwoływanie wilg.

Głośniki radiowe grają u okien,
świetlice napełnia gwar, muzyka.
Poszerza się świat, otwierają horyzonty szerokie,
książka wędruje w najdalsze zakątki kraju,
w spółdzielniach zakwita tekstylny bławat
a wieśniaczka — dziewczyna — chustką powiewa, śpiewa
i to jest pieśń o maju:
naszych dni sława.

Dzieją się nowe dzieje.
Buduje się nowa wieś.
A nad nami sztandary:
biało-czerwone,
czerwone —
i zielone sztandary górą trzepocą.

Wczasy

Lasy, które ścielą cień u zboczy
żywiczne są i zdrowe
jodłowe i sosnowe
a strumień, wiozący szum, ma siwe oczy.

Tam, gdy niosą nas letnie wczasy
woła brzoza smukłonoga
i górska ścieżyna — droga
w żywiczną niesie dal, w zielone lasy.

Tam w rześkim wiewie poranka
gdy słońce przelewa się przez igliwie
na ściętym pniu omszonym, jak przy piwie
siąść — i pić powietrze z gór jak z dzbanka.

Tam obłok żeglujący, gdy górą przepływa,
zaglądnie — tam kołysze się jastrząb bury
poranna mgła nad łąką, jak chmury
wisi modra i siwa.

Tam rącza sarna przystanie na chwilę
pijąc u potoku wodę
Tam świt — jak dziewczę urodne jest i młode,
tam tęczą wachluje skrzydło motyla.

Tam owce beczące, gdy z upłazu
schodzą — cienko dzwonią i długo
tam kamienie toczą się strugą
tam siwy dym u szałasów.

Żywiczne, zdrowe, rześwe lasy!
Do was po radość po zdrowie
jadą na wczasy górnicy,
jadę z fabryk robotnicy
i z całej Polski ludzie pracy.

W poprzednim numerze:

„Wieś" z dnia 9.VII.1950 r. Hieronim Michalski — V Zjazd Pisarzy. **Aleksy Surkow** — wiersz. **Aleksy Surkow** — Mądra książka — mądry doraddca chłopa. **Jorge Amado** — O współczesnej literaturze brazylijskiej. **Bodo Uhse** — „Po której stronie jesteśmy"? **Jerzy Grygolunas** — Ballada o siedmiu, którzy są miliardem. **Zbigniew Chyliński** — Lenin o chałupnictwie. **Mieczysław Kokoszkiewicz**— Drogi rozwoju przemysłu ludowego. **Andrzej Kijowski** — Pozory realizmu. **Jerzy Maciejewski** — U tkaczki Sokólskiej. **Janina Leskiewiczowa** — Inteligencj warszawska przed 80 laty. **Mikołaj Gribaczow** — Wiersze z Bułgarii, **Józef Ozga Michalski** — Pierwsza rada. **Edmund Nizlurski** — O powieści jeszcze nie wydanej. **Marian Gajewski** — Gospodarka planowa w Polsce. **Piotr Pigwa** — Nowe życie wsi. **Ryszard Hładko** — Powieść o czeskim teatrze. **Stanisław Mędelski** — Pierwsze spotkanie z faszymem. **Fakty i zdania. Listy ze wsi. 21 ilustracji. 8 stron.**

WŁADYSŁAW KOWALSKI

PODJAZDY

(Fragment z powieści „Wino")

— Hej, Radecki! Wiecie co o nim? — spytał Nabielak.

— Za późno przyjechał, wiatr, ciemno, nie rozgadaliśmy się — odpowiedział Radecki, wskoczył na wóz, zawrócił końmi i pojechał.

Nabielak wrzepił oczy w cień Wiewióra i rzekł, akcentując kpinkowato.

— A wy, dziadku, proroka udajecie, wyprorokujcie, co za jeden ten nauczyciel.

— Phi! — syknął Wiewiór. — Mam prorokować, kiedy wiem wszystko.

Gdyby w tej chwili mógł był Wiewiór dostrzec twarz Nabielaka, zobaczyłby, że policzki jego spłaszczyły się, a oczy powiększyły się dwukrotnie z podziwu.

— Wiem wszystko — powtórzył Wiewiór. Jakby się śmiał, głos jego poświstywał chropowato. — Machorkę, Nabielaku, macie? — spytał.

— Na takim wietrze będziecie palić? — zdziwił się Nabielak.

— Okes, me diabli nie wezmą, tak się chce palić — rzekł Wiewiór.

— Ha, ha, ha — zarżał rubasznie Nabielak. — Też wam się chciało tu iść w taką wietrzną i ciemną noc.

— Z Błotnicy idę — rzekł Wiewiór.

— Z Błotnicy? — głos Nabielaka zdradzał najwyższe zdziwienie. — I tam się dowiedzieliście?

— Tam. Ale skręćci że tego papierosa.

Nabielak podszedł na wprost okna, stanął we mgle światła. Jego przysadzista postać odznaczała się dość wyraźnie. Wiewiór dostrzegł nawet wąsiska i połyskliwy daszek maciejówki. Nabielak zwinął papierosa i wetknął go w zimne, drżące ręce Wiewióra, który natychmiast kucnął i próbował go zapalić zasłaniając kapociną ogień zapałki od wiatru. W pierwszym błysku ognia Nabielak dostrzegł pasemko wąsinów starego, jakby rys kredą pod nosem.

— Ostrożnie palcie, bo opalicie wąsiny, a i tak macie rzadkie jak kot — zakpił Nabielak.

— Nic nie szkodzi — mruknął Wiewiór. — I tak trzeba będzie zgolić, bo teraz inna moda nastała, podobno z wąsami do nieba nie wpuszczają. A ja się tam już przecie rychło wybiorę. Wątpię, czy do . tki dociągnę.

Nowy błysk zapałki zdradził żółtą, drobną twarz Wiewióra i suche roztrzęsione dłonie.

— Sielnie zmarzliście, to sami nie zapalicie — rzekł Nabielak. Kucnął, wziął z rąk Wiewióra zapałki i sam mu przypalił. Wąsy zatrzeszczały, jakby kto chrust nadepnął. — No, mówcie prędzej, donaglił Nabielak powstając.

— Nazywa się Adam Jasiukiewicz — objaśniał Wiewiór. — Niemłody już, a kawaler. Jego brat to podobno mądrala. Wiersze pisuje. Wywodzą się z panów.

— Jak to z panów? — zdziwił się Nabielak.

— Ze szlachty podobno się wywodzi — mówił Wiewiór. — Jego ojciec był nauczycielem w Gagatkowie. Już nie żyje, ani matka.

— Skąd wiecie? — spytał Nabielak.

— Ba, skąd! Pisarz wie o tym — odpowiedział Wiewiór. — Też przecie z Gagatkowa pochodzi. Ale co ten nauczyciel teraz sobą przedstawia, nie wie, bo dwadzieścia lat o nim nie słyszał. — Ssał już tak krótki niedopałek, że wąsy przypalały się przy każdym pociągnięciu dymu. Wreszcie zapluł głośno ogień.

— Chodźcie — rzekł Nabielak — przyjrzymy mu się. Podeszli ku oknu, gdzie wzajemnie widzieli się lepiej. Kryjąc się za linią światła podglądali nauczyciela, który stał na izbie zwrócony tyłem do okna. Gdzież w pobliżu okna wisząca lampa rzucała blask światła na jego wysoką postać, stalowe paski na ciemnym tle ubrania oznaczały się wyraziście. W izbie prócz łóżka, stołu, dwóch krzeseł i piecyka leżały na łóżku świeżo przywiezione walizy.

— Zgrabny człowiek — pochwalił Wiewiór. — Widać medytuje, co zrobić. Może nie umie sobie łóżka posłać?

Nauczyciel wciąż stał zwrócony tyłem do okna i patrzał na żelazne łóżko z wypchanym mocno słomą zgrzebnym siennikiem. Gdy się nagle odwrócił twarzą do okna, wtedy Wiewiór i Nabielak spostrzegli ciemny policzek i wycięte na kształt rogu ucho. Te felery bez wszelkiej wątpliwości wyjaśniały starokawalerstwo nauczyciela.

— Fiu! — syknął cichuteńko Wiewiór do ucha Nabielakowi. — Taki, nic dziwnego, że przygiązał na wieś. Chory, czy co? Wymokły w oczach. Patrzcie teraz na prawe ucho. Do diabła z taką urodą. Jeszcze w dodatku wąsy goli. — Nabielak spojrzał na Wiewióra i zaklął w myśli, gdyż starv drżał tak z zimna, że aż podskakiwał, a mimo to nie stracił nic ze swego rezonerstwa.

— Umyślnie chodziliście do gminy? — spytał Nabielak, chociaż nie miał co do tego wątpliwości.

— Niech tę zimę milion diabłów porwie! — szepnął Wiewiór, domyślając się ironii Nabielaka. — Co mam robić w domu?

— Przecież nie wiedzieliście, że go pisarz zna? — zauważył Nabielak.

— Alem się dowiedział, jakem poszedł, — rzekł stary chichocząc cicho. Nagle, nic nie mówiąc, ruszył żwawo i wszedł do sieni. Nabielak podążył za nim.

Nauczyciel spacerował po izbie, widocznie podszedł blisko, a słysząc w sieni tupanie, gdyż obydwaj otrząsali buciska z błota, otworzył je.

— A proszę bardzo... — rzekł Jasiukiewicz i cofnął się na środek izby. — No, no, pan taki staruszek a interesuje się szkołą — mówił wyciągając dłoń do Wiewióra.

*

Mimo zasłon na oknach, w izbie było dość widno i Jasiukiewicz, leżąc wygodnie na łóżku, rozmyślał nad swoją nową sytuacją, gdy nagle ten tok myśli przerwał trzask walącego się drzewa, więc poderwał się na równe nogi.

Olbrzymie konary zwalonego na drogę drzewa, akurat po środku parku, przesłaniały widok na to, co się tam działo. Ale spojrzawszy nieco w kierunku południowym, domyślił się wszystkiego.

— Aha! — zawołał. — Jednego obszarnika diabli wzięli. Ale po co rąbią te drzewa w parku?

Dopiero teraz dostrzegł biały obrus na stole i cztery jajka na talerzu, na piecyku emaliowany niebieski garnek, a na jego pokrywie biały dzbanuszek z mlekiem.

To było coś nadzwyczajnego. Tyle troskliwości.

— Była! — rzekł do siebie. — No niech to kto powie! Przyszła cichutko, jak myszka i... Obydwie ręce przerzucił na tył głowy, zaskoczony nową myślą, że przecież, gdy się obudził w tak ciepłym pokoju, - odrazu powinien był zrozumieć. Skądże wzięłoby się tyle ciepła. Więc była tu, była!

Nie, czegoś podobnego nie oczekiwał. I miednica do mycia gotowa i woda w wiadrze na ławie koło drzwi.

Ziewnął. Źle mu się spało.

— Czuła dziewczyna, nie ma co! — powiedział sobie głośno. Nie mógł powstrzymać się od myśli, że i ponętna. Oczy ma jak malowane. Ba, całą postać zgrabną.

Tak jakoś trochę ociężalszy się poczuł. Ciężko snuły mu się w głowie dawne wspomnienia od dzieciństwa aż do wylądowania w Mianowie, z własnej woli. Z idei i lekceważenia własnych potrzeb.

— Długa droga — westchnął. Zamiast do śniadania zabrał się do golenia. Starannie się golił żyletką przed małym lusterkiem opartym o talerze z jajkami.

— Śmieszne! Cztery jajka na śniadanie — myślał, zabierając się po umyciu do śniadania. Dobre wyobrażenie o żołądku inteligenta mają widocznie chłopi.

Zjadł trzy jajka. Byłby jednak zjadł i czwarte, gdyby znów nie wydało mu się to śmieszne. Chłop mógłby powiedzieć...: „Co to taki jeden strawi" i posłać mu na kolację ze sześć jaj. Gdyby był użył normalną ilość chleba, wystarczyłyby napewno tylko dwa jaja. Ale jaja były ugotowane na twardo, zjadł je prawie bez chleba, i tak samo bez chleba wypił dwie szklanki mleka. Wstał od stołu, narzucił na ramiona marengo jesionkę, włożył kapelusz i wyszedł obejrzeć klasę szkolną. Była nią sąsiednia izba, z wejściem z tej samej sionki. Wszedł, stanął po środku i rozglądał się. Obszerna i czysto wybielona była ta izba, lecz niska; belki wisiały mu tuż nad głową. Piętnaście starych ławek o niejednolitej barwie. Czarna tablica stała na trzech wysokich nogach koło drzwi, opodal tablicy piecyk z rurą, jak u niego w pokoju. Dwa okna jedno na północ, drugie na zachód. Pod zachodnim oknem „katedra", trochę przywysoka skrzynia, na niej stół.

Władysław Kowalski.

— Ubogo, ale jakoś tam jest — mruknął Jasiukiewicz i spojrzał w okno. Chałupa Nabielaka ogrodzona sztachetkami, jak z pod kozackiej papachy zerkała z pod strzechy dwoma ślepiami okien. Ten sam starzec, którego poznał wczoraj, człapał wolniuteńko ścieżką przez ogródek od chałupy Nabielaka. Szedł lewym bokiem. Pochylony mocno ku ziemi nie miał twarzy tylko wyleniałą barankową czapę. Dłonie zasunął w rękawy burej kapociny i tak splecione ręce przyciskał na brzuchu, jakby cierpiał boleści. Stopy okute w zrudziałe buciny siekły żwawo po ziemi, lecz posuwał się żółwim krokiem. Wyminął wreszcie sztachetki, stanął na drodze, może z piętnaście kroków od szkoły i niezdecydowanie spoglądał to na wschód, to na zachód. Odrastające na jego brodzie szczecinki połyskiwały jak drobniusia rosa.

— Dożył tego wieku, że już mu wszystko jedno w którą stronę byle się zdecydować i pójść — pomyślał nauczyciel i nie zamykając drzwi, wyszedł na świat. Wiewiór uchylił czapy na powitanie i roześmiał się chrapliwie.

— E... he... he.:: jakże się panu spało?

— Dziękuję odpowiedział nauczyciel. W tej chwili znów rozległ się trzask walącego się gdzieś w środku parku drzewa.

— Tną te drzewa. Może pan chce zobaczyć? — rzekł Wiewiór.

— Chętnie — zgodził się Jasiukiewicz i poszedł ku drodze. Ściskając suchą dłoń starca, doznał wrażenia, jakby dotknął wiązki zimnych patyków. — Z czego się śmiejecie? — spytał, gdy Wiewiór szczerzył bezzębną jamę ust.

— A śmiać mi się chce, bo nasz Pietrucha... — przyciął język i nie dokończył.

— Co za Pietrucha? — spytał nauczyciel.

— Tak się nazywa nasz proboszcz. Nazywa się Pietruszyński, ale ludzie mówią Pietrucha — odpowiedział Wiewiór. Umyślił podobno w adwencie nie dawać rozgrzeszenia nikomu, kto nie jest wierny panom.

— Czyj to był dwór? — spytał nauczyciel, zbywając milczeniem plotkowanie starca o księdzu.

— A to niejakich Mianowskich.

— Mianowskich? — zamedytował się nauczyciel. — Czy to nie dzisiejszy sanacyjny minister?

— To, to, to... Ten samiusi, — zapiszczał Wiewiór.

— To jego ojca był ten folwark? — spytał nauczyciel.

— Ojca, ojca! — podchwycił Wiewiór. — Ten Czesław nie zgadzał się z ojcem w polityce. Potem to przyjeżdżał do ojca jakiś czas, aż znów się widać pokłócili, dopiero na pogrzeb się zjawił.

— To ten stary zmarł?

— Ha... — podrzucił głową starzec i rzekł jakby ze zdziwieniem. — Cóż nie miał umrzeć. Raz go wojna z długów wybawiła, to znów w długi się zakopał. Tak się na syna zawziął i chciał go widocznie zwalczyć w tej polityce, nie wiedział, że on się sam nawróci. To brał ten stary pieniądze od rządu i gdzie się dało, a na politykę łożył. No i widać hulał, bo żona mu wcześniej umarła. Pan jest może też szlachcic? — udał, że o tym nie wie. — Może się pan obrazi, ale powiem panu, że ta szlachta to gałgański naród. Jak oni tak mogą rządzić, że chłop co biedniejszy ledwie zipie.

— Tym lepiej, że ten Mianowski zbankrutował — wtrącił żywo nauczyciel.

Lecz Wiewiór wyraził inne w tej sprawie zdanie.

— Komu, panie, lepiej, a komu gorzej — odpowiedział starzec — chichocząc, jakby się czegoś wstydził. — Kto, panie, kupił, to temu lepiej, a kto nie kupił, to za Mianowskiego ukradł gałęzi z boru i popasł na dworskim. Tego panie, co nie kupił teraz dopiero bieda przytrze. A ze wsi nie kupił nikt, wszystko obcy. Skąd ci ludzie wzięli pieniądze, to diabli ich wiedzą, Bór już wycieli — pochylił głowę, spojrzał swoimi mętnymi i zgniłymi oczami w twarz nauczyciela, a spotkawszy się z jakimś zgrymaszonym uśmiechem Jasiukiewicza, przybladł zdetonowany, nie mogąc się połapać w czym mógł przeholować.

— Dwory powinny co do jednego zmarnieć! — podjął nagle Jasiukiewicz. — Ani jeden nie powinien ocaleć. Cała ta hańba przeszłości powinna zginąć! — Rozpalił się tak do mowy, jakby był na wiecu. Wzrok jego w tej chwili padł na kaskadę, która spod żelaznego ogrodzenia siała srebrne sznury bisioru do głębokiego wąwozu, porosłego olchą. Po pół minucie weszli na drewniany mostek nad maleńką rzeczułką. Wiewiór, wskazując ręką na stawik z rogu parku, rzekł:

— Tu utopił się Zdzisław.

— Ten właściciel?

— Nie, jego najmłodszy syn. Miał, panie, małego bzika. Jak pan widzi, te wierzby nad stawikiem mają długie pręcie aż do wody. To niech pan sobie wyobrazi, coś mu do głowy przyszło, chwytał się tych pręci wierzbowych, widać sobie je czymś przygarniał z tamtego brzegu na ten i, panie, hultał przez stawik. No i jakoś nieszczęśliwie uwiązł głową w szlamie, tylko nogi było widać na wierzchu. Ludzie widzieli, jak hultał, ale jak się topił, nikt nie widział. Co ten stary, panie, nie miał umrzeć! Drugi, na imię mu było Zygmunt, jakąś kobietę zastrzelił, a potem siebie... Widząc, że nauczyciel zapatrzył się na staw prawie zupełnie jak strzechą, okryty warkoczami wierzb, rzekł:

— Prawda, że to ładne? Jak rozbiorą te żelazne sztachety i wykopią drzewa, to woda spłynie i nie będzie nic.

— Ta-ak! — mruknął nauczyciel, ruszając z miejsca. Szedł żwawo ku chłopom, którzy obciosywali siekierami konary drzewa zwalonego na drogę. Wiewiór dotrzymywał mu kroku, objaśniając:

—To kasztana tak czyszczą. Taka była aleja wyjazdowa z tych kasztanów, że nawet za dnia było w niej jak o zmroku. Ale generał Nawrocki wszystko to zmienia, nawet ścieżki.

— Widzę, że jednak żal wam pana — rzekł z uśmiechem nauczyciel.

— E, diabła tam żal pana! — zaprzeczył stanowczo Wiewiór. — Ale jak co ładne, to jakże mówić, że brzydkie? Przecież i w tych olszynach nad rzeką poleżało się, a teraz jak wygolą do czysta, to ani cienia nie zostanie. Tylko cóż poradzić! Rząd podarował ośrodek temu generałowi Nawrociowi, a on przerzedza park i stawia różne figurki, przeważnie nagich kobiet. Widocznie nie lubi gęstwiny, a może myśli, że te figurki są ładniejsze od drzewa. Moim zdaniem spaskudzi tylko tymi figurkami park. Bo ja wolę drzewa.

Jasiukiewicz przystanął nagle w oddaleniu jakichś dwudziestu kroków od zwalonego kasztana i częstując Wiewióra papierosem spytał:

— A gdzie jest wieś?

Wiewiór zakrążył ręką wokół nieboskłonu i rzekł:

— Jak pan widzi.

— To taka wieś? — zdziwił się Jasiukiewicz.

— Taka, panie, — odparł z grymasem starzec.

Pykając dym z papierosów, obydwaj rozglądali się po obszernej równinie. Nie wiele ciekawego mogli zaobserwować.

— He, panie! — podchwycił żywo Wiewiór — tak nas wyszykował ten Czesław Mianowski, i tu niejaki Szymek Kometa. Teraz ten Szymek zmądrzał. Ale już późno. Jak go ten Czesław złapał... — stary zakrztusił się od śmiechu. — Też, panie, trzeba było trafu! Ujął go, tego Szymka, na kradzieży czereśni, spodobał mu się i tak go wyćwiczył, że ten Szymek nam i sobie nabroił, bo nie rozumiał co robi. Tak go ten Mianowski ogłupił. No i rozwalił wieś po polach, że chłop chłopa teraz rzadko widzi. Ludzie nie chcieli, ale ich zmusili przez tego Szymka, który tak się kochał w tym Mianowskim, że aż oślepł.

Jasiukiewicz tylko jak przez sen słyszał słowa Wiewióra, mruczał do siebie, zapatrzony w rozrzucone po polach chałupki.

— Gdzież tu jest wieś? Gdzież tu są ludzie? Czyż można będzie tych ludzi wieczorami zbierać?

Wiewiór, jakby odczuł jego wątpliwości, rzekł:

— Baby się boją same pozostać w domu. W ciemną noc to aż strach wyjść przed chałupę.

— A wy gdzie mieszkacie? — spytał nauczyciel.

— A ja to tu, nie tak daleko. Widzi pan, tam tę chatę przy drodze? — wskazał ręką na tulącą się przy ziemi budę oddaloną o pięćset kroków. — To synowa chałupa, bo ja już nie gospodarzę.

— Śmieszne — mruknął nauczyciel, ruszając z miejsca. — Szkoda tych drzew — rzekł podchodząc do chłopów obciosujących kasztan z konarów.

— A tak, panie! Tylko cóż zrobić? Jak najęli, to się rąbie — rzekł wysoki, a jak drążek cienki chłop.

Jasiukiewicz przeskoczył przez olbrzymi pień i wszedł do środka parku, gdzie akurat z ciężkim jak grzmot łoskotem znów zwaliło się olbrzymie drzewo, wstrząsając ziemią.

— Jak on myśli, dziadku? — spytał ten sam drążkowaty chłop Wiewióra, który umyślnie pozostał na miejscu.

— Jak go zapytam o Rosję, to dopiero się w nim połapię, — odparł starzec. — Jeszcze nie było do tego okazji, a bez tego jakże wiedzieć, co myśli.

— Pomacałem go o księdza, ale zmilczał — dodał po chwili. — Nie wszystko też rozumie, co się do niego mówi.

— Pewno i wy też nie wszystko rozumieliście, co on do was mówił — zażartował jeden z drwali.

Wiewiór zwątpiale podrzucił ramionami.

— Bo ja wiem? Zdaje mi się, żem wszystko pojął.

— Jemu też się tak zdaje — zauważył inny chłop.

— Może i to być! — pokręcił głową stary. Ja mu stawik, że ładny, a on mi na to, że ja pana żałuję. Nie czuje, w czym rzecz.

Ponieważ chłopi nie mieli jakoś ochoty do rozmowy, wzięli się do odrąbywania gałęzi, Wiewiór zostawił ich i poszedł za nauczycielem do parku.

Znów szedł lewym bokiem, jak przez ogródek Nabielaka. Kapocina podskakiwała na zrudziałych cholewskach bucisków. Słyszał, jak jeden z chłopów zakpił z niego półgłosem mówiąc: — Teraz sobie dziadyga popali!

— A tobie z zadrości ozór uschnie — szepnął do siebie Wiewiór i udając, że nic nie słyszał, człapał dalej. — A co? — zawołał do nauczyciela, który wracał już, szedł po szerokiej żwirowanej jezdni. — To, panie, była wyjazdowa brama — objaśniał stary. — Żeby pan tu był, jak jeszcze i ten drugi rząd kasztanów stał... szedłby pan sobie, jak pod dachem. Nawet w słoneczny dzień było mroczno, bo gałęzie ze sobą splatały się.

Patrzyli w milczeniu na rząd równo przy jezdni stojących olbrzymów, skubanych siekierami przez co najmniej dwudziestu chłopów.

— Za tydzień wysiepną do żdźbła — rzekł Wiewiór, by nawiązać rozmowę. — Wskazał na pałac, który teraz stał niezasłonięty.

— Tam się odbywały zmowy przeciwko wam — rzekł nauczyciel.

— O, ba! My dobrze o tym wiemy, że panowie zawsze na chłopa lecą — podchwycił starzec. — Niech więc pan nie myśli, że tu komu w głowie postanie komu żal po nich. Ale co, panie, zrobić, żeby ich wszystkich wykończyć, tak jak w Rosji?

— Pomówimy o tym, — rzekł nauczyciel wpatrując się w zsiniałą twarz starca. O Rosji nie mówcie. Bolszewizm nam nie potrzebny. Zajdźcie do mnie wieczorem. ale nic sami, przyprowadźcie z sobą kilku chłopów. Potom tu przyjechał, aby was uczyć.

— Sielnie się będą ludzie cieszyć — rzekł obłudnie stary, wyciągając rękę po papierosa. Głos jego gdzieindziej pewny i zdecydowany, w rozmowie z nauczycielem przybierał ton naiwnie dziecięcy, a usta zawsze stroiły się w lekki uśmiech.

Nauczyciel jeszcze raz zaprosił go do siebie, lżej ściskając jego dłoń, niż przy powitaniu, gdyż teraz zdawało mu się, że te kostki bez ciała mogłyby się rozkruszyć pod mocniejszym uściskiem. Gdy nauczyciel odszedł, Wiewiór rzekł do chłopów:

— Już go pociągnąłem za język. Przysłali go tu, aby nas szpiegował i mamił. Miejta się na baczności.

Władysław Kowalski

Antonina Chmielewska

Mój życiorys

Urodziłam się w Trzeszczanach w powiecie Hrubieszowskim. Dziadkowie moi byli pracownikami folwarcznymi, dworskimi. Rodzice moi posiadali domek i ogród półmorgawy, który mnie w spadku pozostawili. Dziadek i ojciec byli z zawodu stolarzami — stelmachami. Rodzice moi byli ludźmi biednymi, nędzarzami bez nauki. Mieli sześcioro dzieci, z których ja jedna dożyłam starszych lat. Po śmierci rodziców dostałam po nich chatkę z ogrodem, gdzie mieszkam i pracuję jako robotnica wiejska od 28 lat. Życie moje ubiegłe — męczeńskie. Kiedy żyli rodzice i siostra, pracowałam w Warszawie jako służąca domowa przez lat dziesięć. W tym służebnym stanie pracowałam 8 miesięcy u przełożonej gimnazjum. Ta kobieta bardzo drażliwa i egoistka nie pozwalała nigdy rozmawiać z ludźmi. A jeżeli ktoś mnie zapytał musiałam jej każde słowo powtarzać.

Zamykała mnie na klucz, odchodząc z domu, aby mnie kto od jej służby nie odebrał. Zamykała każdą swoją rzecz. Byłam u niej więźniem domowym. Kiedy płakałam mówiła, że mi jest bardzo dobrze. Po ośmiu miesiącach wyrzekłam się tej służby i z pomocą znajomej odebrałam od niej swoje rzeczy.

Warszawa miasto — wielkie i pełne szkół; tam się trochę poduczyłam i skończyłam kurs freblowski.

Byłam boną — nianią w różnych domach prywatnych w Warszawie. Kiedy siostra moja umarła, a rodzice rozpaczali nad jej zgonem, powróciłam z Warszawy na wieś, gdzie po dwóch latach umarli i rodzice.

Po ich śmierci sąsiedzi przemocą i gwałtem zabrali mój ogród, który mi się z prawa należał. Podałam prośbę do Sądu, który w ciągu sześciu lat sprawy moje sądził i zakończył komornikiem. Pomimo, że Sąd umorzył wszelkie ich pretensje do mojego ogrodu, zawsze czują do mnie nienawiść i gdzie tylko mogą to mi szkodzą. Nie mogłam wyjść za mąż z powodu lichego zdrowia. Mam chatkę, ogród obsadziłam drzewami. Mam trochę owoców i jarzyn. Żyję z pracy rąk i głowy. Pracowałam u gospodarzy, którzy mi licho płacili — cztery lata. U drugich — sześć lat prawie za darmo. U trzeciej gospodyni trzy lata za byle co. Jedzenie liche i kilka złotych rocznie. Życie przedwojenne, wyrobnicze, nędza z biedą i chorobą razem połączona. Głód mi dokuczył i wyglądałam jak szkielet chodzący. W czasie wojny niemieckiej kilka razy ledwie nie zginęłam od Niemców i faszystów ukraińskich.

W naszej wsi Trzeszczany zginęło 50 ludzi. Byli to Polacy, Żydzi i Ukraińcy. Żydzi zostali prawie wszyscy wymordowani przez Niemców. Kiedy Niemcy uciekali z za Buga do Polski najmowali nacjonalistów Ukraińskich do walki z Polakami — partyzantami. Niemcy ogłosili, „że pod karą śmierci nie wolno opowiadać o wojnie." Uciekinierzy z za Buga przynosili wiadomości o cofaniu się wojsk niemieckich do Polski. Polacy szeptem opowiadali sobie te wiadomości i ginęli za to. Tak ósmego marca 1944 roku zamordowali siedmiu ludzi, a ósmy uciekł. Ludzie ze wsi uciekali do Lublina, Warszawy, aby dalej od Niemców. Ja pracowałam w czasie wojny w mleczarni i życie uratowałam. Po wojnie pracowałam u gospodarzy i nauczycielki we wsi.

Od roku 1946 pracuję jako pomocnica kościelnego u organisty. Mam pisma religijne i świeckie. Ulubione moje pisma są: „Przyjaciółka" i „Wieś". Mam i inne. Dla mnie pisma są skarbem. Dla istoty samotnej jak ja, to wielkie szczęście przyjacielskie. Innego szczęścia nie mam. Cierpiałam wiele jako służąca w Warszawie i obecnie jako robotnica wiejska, domowa, ostatnio przykościelna. Cierpiałam wiele przez wyzyskiwaczy i posiadaczy i tego nie rozumiałam. Z pisma „Wieś" zrozumiałam swoją społeczną krzywdę i innych pracowników, kobiet i mężczyzn. Gdy mnie Pani w służbie przeciążała pracą, znosiłam to bez protestu, chociaż często chorowałam. Często nie wypłacano należności i nazywano mnie darmozjadem, choć nie chciano wydalać ze służby. Zdawało mi się, że w służbie trzeba jak najwięcej pracować, jak najmniej jeść i najmniej pieniędzy pobierać. Tego żądały panie warszawskie i wiejski egoizm bogaczy. Z pisma nauczyłam się cenić swoją pracę i bronić się od bogaczy i wyzyskiwaczy. Bogacze żądają darmowej pracy na wsi.

— Nie nadajesz się do ciężkiej pracy, żniwa i kopania kartofli. — Za pracę dostaniesz jedzenie i kawałek chleba do domu.

Ot i wszystko.

— A za co kupię buty i ubranie?

—A mnie to obchodzi? Mnie obchodzi twoja praca i nic więcej. Możesz sobie boso chodzić.

Dzisiaj jest inaczej.

Biedni robotnicy mają prawo do życia, ubrania, butów i pism. Chcesz mojej pomocy, w pracy — zapłać, a nie zbywaj byle czym! Bogacze narzekają, że muszą płacić, że biedny dobrze je i dużo zarabia. Zazdroszczą mi: „ona ma więcej pism od nas" i złym okiem patrzą na mnie. Mam pisma: „Przyjaciółka", „Wieś", „Chłopi" — te prenumeruję; „Niedzielę" dostaję bezpłatnie od księdza. Czekam z niecierpliwością odpowiedzi od redakcji „Wieś", jak Marta Orzeszkowej. Marta nie była biegłą w sztuce przekładu pism z języka francuskiego. Księgarz nakazywał specjalizować się w sztuce pisarskiej. Ja nie jestem biegłą w tej sztuce, musiałam pracować w różnych zawodach. Byłam krawczynią, pielęgniarką chorych, służącą domową, robotnicą rolną i domową.

Ostatnio pracuję: pomagam sprzątać kościelnemu i kalikować. Mam pisma i pracuję myślą i głową nad nimi. „Jak pisać poprawnie". Czytam „Przyjaciółkę".

To pismo bardzo tanie, znajduje się prawie w każdym domu. Dziewczęta rade przeglądać żurnale, wykroje i starają się szyć suknie wg. wzoru wyrysowanego. Z radością biorą pismo od listonosza.

Taki jest mój życiorys ubogi.

ANTONINA CHMIELEWSKA

HIERONIM MICHALSKI

KRYZYS CZY PRZEŁOM?[II)]

(V Zjazd Pisarzy)

W toku obrad warszawskiego zjazdu pisarzy Jan Kott, wystąpił z twierdzeniem, że obecna sytuacja naszej literatury jest dowodem zastoju i kryzysu, że nie napisano żadnego utworu, który by można dać w ręce czytelnika. Twierdzenie to, całkowicie odosobnione, wywołało natychmiastowy i stanowczy sprzeciw. Sprzeciw dotyczył nie tyle jednostronnej i fałszywie wyjaskrawionej w swoim pesymizmie oceny osiągnięć twórczych, ile przede wszystkim ujawnionego niebezpieczeństwa nierozumienia i niedoceniania zachodzących w literaturze procesów, których przejawy mówią właśnie nie o kryzysie, ale o wyraźnie narastającym i dokonującym się przełomie.

Dlatego ten problem dyskusji, problem istotnie węzłowy, może posłużyć za doskonałą okazję do ponownego podsumowania obrad zjazdu, do którego trzeba będzie wracać jeszcze niejednokrotnie, aby utrwalać i rozwijać jego dorobek, bo niewątpliwie wywrze on zasadniczy wpływ na nasze życie literackie.

Z jakich źródeł wypływała ujawniająca się na zjeździe świadomość dokonującego się przełomu i uczestnictwa w nim?

Pracował na nią długi okres głębokiej krystalizacji ideologicznej, kształtującej życie naszego kraju. Objęta jej nurtem znaczna, jeżeli nie przeważająca większość pisarzy doszła do uznania słuszności ideologii marksizmu-leninizmu i na jej podstawach stara się oprzeć swoją działalność literacką. Krystalizację ideologiczną przyśpieszały wpływy rzeczywistości, którą pisarze poznawali, wpływy gigantycznego wysiłku mas pracujących przy zakładaniu zrębów socjalizmu, wpływy i promieniowanie kierowniczej roli klasy robotniczej i jej partii.

Wzruszające były wypowiedzi wielu pisarzy o ich drodze do krystalizacji ideologicznej. Uderzał w nich ton nie tylko rozumowego ujmowania stosunku do rzeczywistości, ale i, tak ważny dla twórczości, ton uczuciowego zaangażowania się w tworzącą się nową historię. Decydujące znaczenie w tym procesie posiadał fakt, że pisarze zrozumieli, że wielkość ich twórczości i perspektywy jej rozwoju związane są nierozerwalnie z twórcą i gospodarzem historii, klasą robotniczą, że istotną treść twórczości znajdą tylko we wspólnej walce o socjalizm i pokój.

Krystalizacja ideologiczna nie została bez wpływu w dziedzinie artystycznej. Sprawa literatury, przymierzona do odrywających się potrzeb rzeczywistości i do zadań, które powinna wypełnić, musiała ukazać się w zupełnie odmiennym świetle. T. Borowski, opowiadając o swoich doświadczeniach z podróży po kraju i spotkaniach z robotnikami i chłopami, stwierdzał, że właśnie nurt życia, który stale wynosi godnych najwyższego podziwu ludzi, zadecyduje o rozwoju literatury, gdyż o takich właśnie ludziach chcą pisać literaci i o takich ludziach chcą czytać czytelnicy. Młody dramaturg Wydrzyński mówił: „Nigdzie nie nauczyłem się tyle, co wśród robotników huty „Florian". Poznałem prawdziwych bohaterów naszej literatury i prawdziwych czytelników tej literatury". O takich samych doświadczeniach mówili inni pisarze, podkreślając, jakie to miało znaczenie dla przyśpieszenia procesu ich krystalizacji.

Odkrycie właściwych bohaterów literatury i właściwych ich czytelników, a więc odnalezienie wyraźnego „adresu literatury" (jak to zagadnienie nazwano w dyskusji) musiało przyczynić się do zrewidowania dotychczasowych pojęć o artystycznych metodach twórczości. Mówił o tym Breza, który na tle analizy stanu przedwojennego (kiedy przy ograniczonym warunkami społecznymi zasięgu literatury doszło do wytworzenia się specyficznego i standartowego typu utworów „zapotrzebowanych") — mocno zaakcentował wpływ potrzeb i odpowiedzialności wobec nowego czytelnika, wpływ, który zmusza do tego, aby pisarz „stawał się za każdym razem młody", tj., aby unikał łatwizny i przygotowywał się do znalezienia za każdym razem właściwego wyrazu, który odda istotnie cechy rzeczywistości i będzie rezonansem odczuwanych potrzeb nowego czytelnika. O sprawie stosunku literatury do czytelnika mówiono właściwie po raz pierwszy na zjeździe literackim. I trzeba stwierdzić, że to rozszerzenie płaszczyzny dyskusji o literaturze, będące właśnie jednym z przejawów dokonującego się przełomu, nadało dyskusji ton nieosiąganej nigdy przedtem w tych sprawach konkretności.

Słusznie podkreślał Ważyk w swoim referacie:

„Na poprzednim naszym zjeździe odbytym w Szczecinie po raz pierwszy wysunięty został postulat opanowania metody realizmu socjalistycznego i omówione były podstawy tej metody. Nie mamy jeszcze w naszej produkcji powieściowej i scenicznej utworów, które moglibyśmy z tego stanowiska uważać za dojrzałe, ale w ciągu tego czasu znakomita większość literatów polskich zaczęła **orientować się w tym kierunku** i próbuje opanować metodę realizmu socjalistyczengo, bo widzi w tym jedyny słuszny drogowskaz dla pisarza, który chce uczestniczyć w rozwoju naszego życia".

Rozważania o metodzie realizmu socjalistycznego, zagajone świetną i cenną wypowiedzią M. Kierczyńskiej (której tekst po wydrukowaniu stanie się niewątpliwie podstawą do gruntownego przedyskutowania tego zasadniczego zagadnienia) wniosły również w obrady zjazdu ton nowy. Jasne się stało, że rezultaty stosowania metody realizmu socjalistycznego będą tym cenniejsze, im pełniejsze będzie związanie się pisarza z rzeczywistością i im większa będzie jego dojrzałość ideologiczna. To jest droga wybrana przez większość pisarzy.

Oczywiście, zjazd nie mógł przejść do porządku dziennego nad faktem, że niektórzy pisarze nie stanęli na gruncie rzeczywistości. Zanalizowano przyczyny przeszkód, oporów i obciążeń, które o tym zadecydowały. Są to: 1) obawa pisarzy przed tym, że „wyjście naprzeciw nowego świata odbije się w jakiś sposób z uszczerbkiem na ich rzemiośle twórczym, że załamie w jakiś sposób ich dotychczasowy profil twórczy" (jak ironizował Wł. Sokorski), 2) uleganie nawet przez pisarzy, którzy przed wojną dawali wyraz postępowym dążeniom, złudzeniom humanitaryzmu, który zamazuje i fałszuje kształty rzeczywistości, 3) artystowska postawa, mająca pozornie na celu ustrzeżenie od jakichkolwiek wpływów indywidualistycznej wolności twórczej, a w rzeczywistości oddaje mimowiednie w służbę walki klasowej do przykrywania klasowo wrogiego stanowiska wobec budowy nowego ustroju i walki o pokój.

Analiza tych przeszkód, oporów i obciążeń, hamujących drogę pisarza do celu, który literatura powinna wypełnić, miała zasadnicze znaczenie dla wyjaśnienia sytuacji literatury, wykazała bowiem, że sprawy artystyczne są nierozerwalnie związane ze sprawą ideologii, że usunięcie niedomogów literatury osiągnęte być może jedynie przez nieustanne pogłębianie i umacnianie postawy ideologicznej pisarza.

Z tym wiązało się zdecydowane przeciwstawienie się wpływom rozkładowej literatury burżuazyjnej, przeciwstawienie się dywersyjnym wpływom kosmopolityzmu. Równocześnie wzmogło się dążenie nawiązania do postępowych treści walczących z imperializmem literatur światowych, przede wszystkim zaś do literatury radzieckiej, literatury zwycięskiego socjalizmu, której wspaniały wzór i przykład jest drogowskazem, jak osiąga się prawdziwie humanistyczną pełnię twórczości.

Fakt, że na zjeździe warszawskim mówiono o tych sprawach w sposób tak wyraźny i z tak pełnym rezonansem przeważającej większości pisarzy, świadczy o ogromnym przesunięciu krystalizacyjnym, jakie dokonało się w środowisku literackim. To również jest to nowe, ujawniające zarysy przełomu.

Dalszym charakterystycznym i bezsprzecznie przełomowym objawem był stosunek do obecnej sytuacji naszej literatury.

Dyskusja nie próbowała bynajmniej taić faktu, że ostatni okres przyniósł stosunkowo szczupły liczebnie plon twórczości. Słusznie jednak podkreślano w wypowiedziach na ten temat, że w stosunku do literatury obowiązuje ta sama wytyczna metody obserwacji, co w stosunku do rzeczywistości: Trzeba umieć dostrzec i odróżnić od starego, od tego, co jest skazane na bezpłodnoćś i przeminięcie, to co jest nowe, co przynosi z sobą zarodki dalszego rozwoju i owocowania. Bez tego zmysłu nowego, bez zmysłu „jutrzejszości" (termin M. Kierczyńskiej) — nie można w ogóle kusić się o trafne osądzenie sytuacji literatury i odczytanie jej perspektyw rozwojowych. Ten brak odbił się właśnie w słusznie pobudzających do sprzeciwu wywodach J. Kotta. Jakich szkód przyczynić może podobny brak, wystarczy przypomnieć sprawę stosunku do młodych poetów.

Zarówno zagajające obrady zjazdu referaty Ważyka i Żółkiewskiego, jak przede wszystkim wypowiedzi dyskusyjne podkreślały, że mimo szczupłości nasz dorobek twórczy ujawnił w wielu swoich pozycjach niezwykle cenny nowatorski charakter, nowatorski w sensie śmiałego i zdobywczego wkraczania na tereny tematyki współczesnej rzeczywistości, nowatorski w sensie wiązania się z nurtem, który przekształca rzeczywistość. Fakt narastania nowego w poezji, prozie, dramacie i krytyce, fakt, budzący największe i uzasadnione nadzieje, jest właśnie konkretnym, przenoszonym w kształt artystyczny objawem przełomu, który dokonał się w twórcach, jest torowaniem drogi, na której ten przełom będzie narastał coraz pełniej.

A przecież ocena sytuacji współczesnej literatury polskiej wyłącznie na podstawie wydanych książek byłaby niepełna. Trzeba wziąć pod uwagę, że w wyniku przeprowadzonego przez Ministerstwo Kultury i Sztuki konkursu na utwór sceniczny, repertuar teatralny zostaje zasilony klikudziesięciu sztukami, wnoszącymi tego samego nowatorskiego ducha. Trzeba wziąć pod uwagę, że w obecnej chwili trwa jeszcze akcja wyjazdów pisarzy w teren, że w akcji tej bierze udział 82 literatów, z których wielu zasygnalizowało już rozpoczęcie pracy nad artystycznym ukształtowaniem zebranego materiału.

Trzeba dalej wziąć pod uwagę rolę pism, które torują drogę nowemu w literaturze. Dowodem choćby jest działalność „Wsi", a przede wszystkim zastanawiający w swoim zasięgu wynik przeprowadzonego konkursu na reportaż, wynik, który był wydarzeniem w naszym życiu literackim i przyczynił się niewątpliwie do pobudzenia twórczości licznych autorów.

Uzupełnia ten obraz napływ nowych talentów, wśród których coraz częściej do głosu dochodzi nie tylko młodzież, ale także ludzie, którzy do literatury wnoszą doświadczenia zdobyte przy warsztatach pracy. Toteż zagadnieniu nowych kadr, w których tkwi jedna z głównych przesłanek ciągłości i coraz pełniejszego rozwoju literatury, zjazd poświęcił wiele zrozumiałej troski.

W tych właśnie zjawiskach, (pamiętając o dokonującym się coraz wyraźniej przełomie ideologicznym środowiska literackiego), zawierają się perspektywy rozwojowe naszej literatury. Na zjeździe wielu pisarzy mówiło o tym, jak łamią się, jakie opory i obciążenia pokonywują, szukając swojej właściwej drogi twórczej. Rezultaty poszukiwań nie zawsze są wolne od usterek. Ale na usterki patrzeć należy nie od strony uchybień kanonom poprawności formalnej, a właśnie od strony **celu poszukiwań.** W tej widocznej, pełnej uporu żarliwości szukania, która musi wzruszać i zarazem budzić nadzieje, tkwi nowatorski duch naszej literatury. Kto zatem chciałby mówić o sytuacji zastoju i kryzysu, ten zdradza się, że nie rozumie procesu, który przeobraża literaturę, ten swoimi sugestiami może zamącić przebieg tego procesu. Nie oznacza to bynajmniej, aby pobłażać artystyczno-ideologicznym błędom wyników tego procesu, aby przymykać oczy na ich niedomogi. Sprawa podniesienia jakości jest dla rozwoju naszej literatury zagadnieniem równie ważnym. Chodzi wszakże o to, aby w próbach widzieć właśnie zapowiedź nowego, a nie objaw zastoju i kryzysu, aby niedomogi były traktowane — jak to trafnie określiła Siekierska — jako objawy **choroby wzrostu,** mozolnego, pełnego trudności i łamań się, ale uporczywego wzrostu. Wzrostu, któremu trzeba pomagać, gdyż on przynosi przełom.

Słusznie podkreślił J. Putrament, że w okresach porewolucyjnych przemiany w dziedzinie nadbudowy nie nadążają zazwyczaj za dynamiką przemian gospodarczych, politycznych i społecznych. Dlatego też zarysowujący się nie tylko w postawie, ale i w twórczości pisarzy początek przełomu jest opóźniony w stosunku do rzeczywistości. Skoro jednak uświadomimy sobie dostatecznie ten fakt, to możemy na niego **wpływać i przyśpieszać proces wzrostu i przełomu.** Z tym właśnie wiąże się rola, którą ma do wypełnienia krytyka ,powołana do torowania drogi dokonującemu się w literaturze przełomowi. Sprawa krytyki, gorąco i obszernie dyskutowana na zjeździe, stanowi osobne zagadnienie, które niewątpliwie zasługuje i na osobne omówienie. Oczekiwać należy, że zjazd, sygnalizując zasadnicze momenty rozwoju literatury, które wymagają jak najbardziej aktywnego współdziałania krytyki, a równocześnie odsłaniając jej błędy i niedomagania, przyczyni się do przełamania opóźnień w tej dziedzinie twórczości.

Zjazd zatem, jak z tego podsumowania przebiegu obrad wynika, dał wyraźną odpowiedź na pytanie, czy sytuację współczesnej literatury polskiej charakteryzuje kryzys i zastój, czy przełom i wzrost. Przełomowe w naszym życiu literackim znaczenie zjazdu warszawskiego polega na tym, że nie tylko **pogłębił świadomość** dokonującego się w literaturze **przełomu,** ale także zmobilizował świadomość pisarzy **do jego przyśpieszenia.** Obrady i dyskusje, mimo iż zdradzały nieraz zahamowania i ujawniały jeszcze sporo niedostatków, sumowały się przecież w ostatecznym rezultacie w atmosferę, jakicj dotąd nasze środowisko literackie nie znało, atmosferę **odpowiedzialności za rozwój literatury** i za wypełnienie przez nią jej zadań. Nie będzie przesadą stwierdzenie, że była to, szczególnie w ostatnich dniach, prawdziwa atmosfera **kolektywu,** poważnego i świadomego kolektywu, zgromadzonego na **naradzie produkcyjnej,** zastanawiającego się właśnie z pełną kolektywną odpowiedzialnością nad tym, jak usunąć przeszkody na drodze do celu. Obrady w tej atmosferze miały swoją wagę i były zapładniające. W tym należy widzieć niezaprzeczoną zdobycz zjazdu, który niewątpliwie stanie się zwrotnym punktem w naszym życiu literackim.

Hieronim Michalski

MARIAN NARCYZ LISTOWSKI

ZNIWA

Nie jak kiedyś rodziły się żniwa — inaczej!
Silną wolą zakwitły wieczorem.
Na zebraniu uchwalił zespół:

— maszynami przeprowadzić pracę,
— razem, żeby skończyć w porę,
— żeby każdy siłą spółdzielni był wesół.

*

Ranną rosę słońce piło chciwie,
Gdy na wspólne wyszli w kolektywie.

Wprzód sekretarz partii machnął kosą
I równiutko robił plac maszynie.

A gdy pokos skończyli do boru,
gdy już snopy usunięto z roli,
siadł przewodniczący do traktoru,
— ruszył.
Żniwiarka za nimi.
Tuż i druga ruszyła powoli.

Cisza była, tylko kłos się ścielił.
Ktoś by zaczął: „...powstań ludu ziemi"...
Z mocą, razem, pieśń podnieśli chłopi.
A co młodsi i czapki z głów zdjęli.

*

Myślał by kto: — nic nadzwyczajnego.
A było to witanie lepszego
i wieczyste pożegnanie z biedą,
— pracą, pieśnią, bez wymyślnych słów.

Więc szedł drobny dreszcz od stóp do głów
i wzruszenie chwyciło za serce.
Obcej matki całowałem ręce.

Chciałem, żebyś przyszła tu z oddali
i patrzyła... jak rośnie SOCJALIZM.

Marian Narcyz Listowski

JAN BŁOŃSKI

MIĘDZY PAMFLETEM A PANEGIRYKIEM

(Adolf Rudnicki, „Pałeczka" — „Czytelnik" 1950)

Pojawienie się na rynku księgarskim „Pałeczki" Adolfa Rudnickiego stało się swego rodzaju wydarzeniem literackim. Wydarzeniem w złym tego słowa znaczeniu: mówiono o niej wiele, przed i po wydaniu książki, wiedziano, że odbiega daleko od wymagań socjalistycznej rzeczywistości, wzięcie zaś na warsztat jednego z największych środowisk literackich w Polsce nadawało książce posmak skandalu. Naogół spodziewano się powrotu do przedwojennych zainteresowań pisarskich Rudnickiego; można było oczekiwać jakiejś nowej odbitki „Niekochanej", sądząc oczywiście wyłącznie z anonsów księgarskich, które reklamowały „Pałeczkę", jako „powieść o pięknej mądrej i kochającej dziewczynie ze środowisk artystycznych" „Pałeczka" — będąc zresztą, powiedzmy to od razu — książką nieudaną, niewiele ma w fakturze pisarskiej wspólnego z przedwojenną twórczością Rudnickiego, odcina się więc wyraźnie zarówno od „Lata" i „Żołnierzy", jak i Szekspira" czy „Ucieczki z Jasnej Polany"; jest więc w dorobku pisarskim Rudnickiego pozycją najzupełniej samotniczą.

Zacznijmy od garści informacji: akcja „Pałeczki" rozgrywa się w dużym środowisku literackim w powojennej Polsce (lata 1948 — 1949); jej głównym tematem są komplikacje erotyczne kilku pisarzy; skomponowana jest z samych prawie dialogów, prowadzonych w czasie nocy świętojańskiej na imieninach znanego Jasia Lipnicy, „który — jak wiadomo — wstawał zwykle dopiero o ósmej (wieczorem)"; zakończeniem, a zarazem wnioskiem książki, jest spotkanie Gabriela z Pałeczką w letniskowej miejscowości Sady. Nie będzie chyba wielką niedyskrecją, jeżeli w Sadach rozpoznamy ulubiony przez Rudnickiego Kazimierz nad Wisłą, w mieście N. — Łódź, a w blokach pisarzy n-owskich... Tutaj jednak niedyskrecjom należy położyć kres, tym bardziej, że nic one nowego dla zrozumienia książki nie dadzą.

Powiedzieliśmy, że głównym tematem „Pałeczki" są erotyczne komplikacje życiowe kilku znanych pisarzy; zdanie to jednak słuszne jest tylko częściowo. „Pałeczka" jest niewątpliwie książką o miłości, ale sprawy erotyczne, położone na pierwszym planie ,posiadają tu pewne niepokojące tło, stanowią jak gdyby egzemplifikację spraw znacznie bardziej skomplikowanych i społecznie ważniejszych: poprzez „miłość artystów" prześwituje analiza stylu życia, poprzez analizę stylu życia widzimy analizę postawy pisarza wobec rzeczywistości. Miłość, nie tracąc bynajmniej swych rzeczywistych wymiarów, staje się jakby syntezą postawy życiowej opisanych przez Rudnickiego pisarzy. Że tak Rudnicki wzięte na warsztat sprawy rozumiał, świadczą końcowe rozważania Gabriela, wiążące problem „Pałeczki" z zagadnieniem powstawania nowej literatury, ..książek — czynów".

Stwierdzenie powyższe jest dla zrozumienia „Pałeczki" kluczowe. Jeśli się nie mylę — a zastrzeżenie to kładę nie bez kozery, bo „Pałeczka" jest książeczką wieloznaczną i do interpretacji trudną — Rudnicki pisząc swoje ostatnie dzieło, miał na celu **kompromitację królującego dotychczas typu literatury poprzez kompromitację stylu życia jej twórców.** Chciał pokazać, w jaki sposób literatura dezorganizuje własnych twórców, jak w ich własnym prywatnym życiu odbija się, jak w krzywym zwierciadle, ich artystyczna ideologia, albo przynajmniej tradycje ich ideologii wczorajszej. Chciał przenieść rozrachunki i polemiki literackie na grunt codziennego kręgu radości i trosk pisarzy. Ofiarą atmosfery n-owskich bloków pada właśnie Pałeczka, „prawdziwy człowiek" wśród snobów, histeryków i marionetek (z „życiowego" punktu widzenia, oczywiście, bo poza tym mogą to być „znani i cenieni" pisarze).

Rudnicki pisze na stronie 22 tak: „artysta to największy temat współczesny. Za nami ruiny, gruzy tkwiące w nas, jedynie jeszcze w nas, jako nietknięte całości, przed nami nowy, codziennie inny, codziennie zmieniony świat, a w środku my, generacja skazana na to ,żeby się podłożyć pod wóz historii i ani jęknąć, generacja kompost... Sto dramatów epoki opiszemy, a nasz własny pozostanie niemy. Jest to dramat... za trudny, za wiotki i zbyt hermetyczny".... (Cytaty przestawione). Z tych słów wynika, że nie chodziło tu Rudnickiemu o psychologię tworzenia „w ogóle", o pewne dramaty i konflikty, wynikające z samego faktu istnienia artysty, a o dramat artysty **obecnie,** na aktualnym stopniu rozwoju naszego społeczeństwa.*) Choć z drugiej strony istnieją niewątpliwie w „Pałeczce" pewne tendencje „absolutyzujące" opisywane konflikty. Przypuszczenie nasze wspiera się na wyraźnych akcentach satyrycznych, w „Pałeczce" niewątpliwych akcentach, bardzo dla rozbieżności pomiędzy zamierzeniem a wykonaniem dzieła charakterystycznych. Tu jednak wchodzimy na nowy etap naszych rozważań o książce Rudnickiego.

Powróćmy do naszego punktu wyjścia. „Kompromitacyjne" założenie „Pałeczki" powinno poprowadzić Rudnickiego prosto do **pamfletu.** Nie zaopatruję bynajmniej tego słowa w ujemne właściwości; przeciwnie, wydaje mi się w głębi ducha, że taki paszkwil czy pamflet byłby wcale potrzebny... pewne elementy pamfletu tkwią na pewno w „Pałeczce"; Cała nieprawdopodobna aura bloków n-owskich; niesamowita rozbieżność pomiędzy tym, co ci ludzie piszą (o twórczości swoich bohaterów Rudnicki wspomina stosunkowo mało, ale książka dzieje się współcześnie i mamy prawo osądzać książki Gabriela i Krzysztofa według zawartości witryn księgarskich), a tym, o czym mówią i czym się w życiu codziennym kierują, wszystko to podane zostało czytelnikowi ze zmrużeniem oka ,niezawsze zresztą właściwie umieszczonym (mały Szmajdrowicz). Ale nie jest to ton w książce dominujący; „Pałeczka" od pierwszej strony, od pierwszych zdań steruje w inną stronę, w stronę śmiertelnego „serio" opisywanych spraw, pełnego placet tragizmu pod rozwijanymi konfliktami.

„Pałęczkę" cechuje absolutny brak dystansu do podjętego tematu; na każdej stronie przebija uparta **afektacja literackości.** Ponieważ książka zbudowana jest z samych prawie dialogów, Rudnicki stracił zupełnie możność zastosowania autorskiego komentarza; samych zaś postaci Rudnicki nie chce, czy też nie potrafi kompromitować ich własnymi słowami; „literackość" zanadto mu się podoba, choć w założeniu ją właśnie chciał wyśmiać! Nigdy np. jeszcze Rudnicki nie pisał takim wygładzonym, nieprzyjemnie wyszlifowanym stylem, w którym zanadto czuć troskę o „ładnie" brzmiące zdanie, troskę tak dotąd Rudnickiemu obcą, i przez tę nieobecność właśnie nadającą jego stylowi niepowtarzalny urok. Co więcej, takie podanie historii Pałeczki, Pauliny, Gabriela i Krzysztofa, w którym o przebiegu konfliktu wnioskować musimy z ich własnych nieskompromitowanych słów, odbiera niejako czytelnikowi możność obiektywnego ustosunkowania się do tego konfliktu nadaje mu — i całemu stylowi życia bloków n-owskich — cechy czegoś specjalnie cennego i wartościowego**); **Panegiryzuje** przeżycia n-owskich literatów. A jednocześnie — poprzez ową „literackość" stylu — odbiera całej historii siłę rzeczywistości, przesubtelizowuje ją. Sprawa stylu jest dla całej książki niezmiernie symptomatyczna; jego funkcja jest równie wieloznaczna jak sens całej książki.

Pozostaje mi do rozpatrzenia jeszcze jeden aspekt tej samej sprawy: kwestia konstrukcji „Pałeczki", a w szczególności jej zakończenie. Większa część książki, to opis nocnego imieninowego przyjęcia, przypadkowe spotkania i rozstania w ogrodzie domu solenizanta, według których rozwija się akcja pozwalają stworzyć pozorną dynamikę, pozorne konflikty książki, w której w rzeczywistości mało się dzieje i która jest w gruncie rzeczy wielką panoramą artystycznego środowiska. Sposób nakreślenia tej panoramy przypomina trochę opis przyjęcia u księżnej Guermantes u Prousta; ten sam zarys sytuacyjny, to samo wykorzystanie plotki jako swoistego sposobu sondowania prawdy o człowieku. Ale polifoniczna budowa „poszukiwania straconego czasu" była usprawiedliwiona artystycznie w szesnastotomowej powieści; u Rudnickiego subtelności konstrukcyjne nie wychodzą w osiemdziesięciostronicowej książeczce wątki się pirwą, sytuacje dziwią.

Panorama środowiska artystycznego nie mogła Rudnickiemu wystarczyć, bo jak wyżej wskazałem, nie potrafił swoich bohaterów ustawić w dostatecznie jasnym świetle, zatrzymując się w pół drogi między pamfletem a tragedią; dlatego rozgrywające się w Sadach zakończenie stanowi jakby pożegnanie z aurą bloków n-owskich, pożegnanie jednakże często słowne, deklaratywne, nie poparte czynem i postępowaniem bohaterów; i na dodatek pożegnanie na serio, na poważnie, na tragicznie nawet (losy Pałeczki), pożegnanie to nie jest czymś skompromitowanym i śmiesznym a przeciwnie — jest groźne i pełne swoistego „wciągającego" uroku. W ten sposób zakończenie „Pałeczki" podtrzymuje jeszcze owo rozdarcie stosunku Rudnickiego do swoich bohaterów, które stało się głównym niedomaganiem jego ostatniej książki.

„Pałeczka" jest książką niezmiernie charakterystyczną. Miała stać się ostatnim, złośliwym kiwnięciem chusteczką w stronę odjeżdżających na zawsze starych ludzi i starej literatury, tymczasem trzymająca chusteczkę ręką wykonała ruch niezdecydowany i niejasny: na-wpół drwiący, na-wpół pełen szacunku i żalu.

JAN BŁOŃSKI

*) warto zaznaczyć swoisty defetyzm w postawieniu „dramatu artysty" przez Krzysztofa. A może by się tak poradować, pocieszyć, że **takie** są tematy, że nie możemy nadążyć!?

**) por. dwuznaczne słowa Józefiny Kozłowskiej na początku „Pałeczki" „ja kocham mojego murarza z zakurzonymi butami, mojego architekta, który poświęci mi czasami kwadrans. Przez ten kwadrans wdycha on zapach swojego trującego kwiatu, ktory jest mu potrzebny, który działa nań uzdrawiająco, jak czasami kilka kropel trucizny. Bez tego kwadransa, Ludwiku, on..."

WANDA ŻÓŁKIEWSKA

LITERATURA MŁODZIEŻOWA*)

Mimo wielu uwag, które tu zostały już przez koleżanki i kolegów przekazane audytorium, uważam że sprawa literatury dla dzieci i młodzieży nadal jeszcze wymaga poważniejszej reflekcji, tym bardziej, że sprawa ta nie stanowi marginesu naszej zjazdowej dyskusji.

Jeśli weźmiemy pod uwagę że naczelną tezą tej literatury jest wychowanie człowieka nowej epoki zdolnego do zrozumienia zadań tej epoki i podjęcia tych zadań wespół z całym społeczeństwem, jeśli zastanowimy

Na wystawie p. t. „Walka o pokój w rysunkach dzieci" urządzonej w Miejskim Ośrodku Informacyjnym w W-wie zgromadzono ok. 1.000 prac dzieci w wieku szkolnym. Na zdjęciu rysunek 14-letniego Jerzego Marszałowicza ze szkoły podst. w Zwierzyńcu (kl. VII).

się nad tą tezą a jednocześnie uświadomimy sobie, że obecny stan literatury dla dzieci i młodzieży jest niezadawalający — sprawa staje się szczególnie ważna i wymaga interwencji całego aktywu pisarskiego.

Jaki jest stan literatury współczesnej dla dzieci i młodzieży? Postaram się omówić w skrócie to zagadnienie, podając pod rozwagę główne pozycje literackie w tym zakresie. O poszczególnych pozycjach będę mówiła jedynie przykładowo.

Pierwszą i bodaj najważniejszą pozycję w powojennej literaturze dla dzieci i młodzieży stanowią tłumaczenia z literatury radzieckiej. Tłumaczenia te, dość już obecnie obfite, reprezentowane są tak w dziedzinie prozy jak poezji.

Z gatunków literackich mamy tu wiersze dla dzieci Majakowskiego, Marszaka, Michałkowa. Wiersze piękne i mądre, wiersze proste w środkach wyrazu, dostępne dla młodego słuchacza, a jednocześnie zawierające rewolucyjną wiedzę o nowym świecie i najpoetyczniejszą formę, zatrzymującą uwagę dziecka i wyposażającą je w obraz najprawdziwszy, a jednocześnie działający na fantazję i pociąg do nadzwyczajności.

Powieść reprezentowana jest przez znane i duże nazwiska pisarzy jak Kuprin, Garin, Gajdar, Katajew, Kasil, Szwarc. Powieści tego typu co „Timur i jego drużyna", „Biały samotny żagiel", „Syn pułku" spełniają rolę najwyższych osiągnięć, których wartość jest już niemal klasyczna, a powieść tego typu co Szwarsa „Uczennica I klasy" otwiera drogę do dobrej realistycznej literatury szkolnej, tak potrzebnej dla polskiego dziecka w wieku szkolnym.

Nazwiska Katajewa i Marszaka powtarzają się również w literaturze tłumaczonej na użytek polskich scen. Sztuki tych pisarzy grane były w Polsce i spotkały się z wielkim powodzeniem u dzieci, z uznaniem u krytyków.

W literaturze wszakże tłumaczonej najliczniej występują opowiadania dłuższe i krótsze o najróżnorodniejszej tematyce. A więc i opowiadania o wielkich ludziach Zw. Radzieckiego jak np. Anny Uljanowej „Dziecięce i szkolne lata Lenina", opowiadania o wojnie z hitleryzmem Wiery Inber i Szołochowa, opowiadania o życiu młodzieży radzieckiej w organizacji pionierów jak np. Zjelenowa „Złoty strumień". Dominują jednak opowiadania przyrodnicze o zwierzętach. Wachlarz tych opowiadań bardzo szeroki, od Lwa Tołstoja po przez Paustowskiego (Dni lata). Nosowa (Wesoła rodzinka) Durowa (Moje zwierzęta) do Owsiejewej, Żytkowa i Wasyla Bianki — daje już w tej chwili duży i dobry materiał wiadomości przyrodniczych podanych dziecku w sposób nadzwyczaj zabawny i pomysłowy, a jednocześnie oparty na zasadach nowych teorii naukowych i wychowawczych. Obraz świata przyrodniczego odbija się w świadomości dziecka na podstawie obserwacji życie przyrody w jej swoistych warunkach, co rzecz prosta wyklucza nagminnie u nas stosowany antropomirfizm.

Można śmiało postawić teorie, że w tej chwili bazujemy na tłumaczeniach z literatury radzieckiej, bazujemy i w sensie dostarczania dziecku polskiemu najwyższych jakości literackich i w sensie poszukiwań ideologicznych i artystycznych dla rodzimej produkcji literackiej. Fakt ten jest słuszny. Literatura radziecka dla dzieci i młodzieży przoduje w dzisiejszym świecie, daje najlepsze przykłady wychowawcze i polityczne, daje najlepszy poziom artystyczny. Gdyby jeszcze wydawnictwa bardziej dbały o trafny wybór pozycyj tej literatury, możnaby akcje tłumaczeń z jęz. rosyjskiego uznać za najowocniejszą i najbardziej celową. Zdarzają się niedociągnięcia. Przekład Książki Kuprina „Biały pudel' i Garina „Dzieciństwo Tomka" uznać chyba trzeba za niedopatrzenia czynników wydawniczych. Obie pozycje cenne w dorobku twórczym autorów, stanowiące ogniwa w łańcuchu twórczości, wyrwane z całości bez poważniejszych wyjaśnień, bez znajomości historii kultury okresu, do którego należą, nie mogą polskiemu dziecku przekazać tych wartości, które zawierają niewątpliwie. Ą szkoda! Bo proza Kuprina jest wspaniała, należy jednak w wyborze tekstu kierować się nie przypadkiem, ale przemyślanym programem, dostosowanym do potrzeb dnia dzisiejszego i dzisiejszego czytelnika na właściwym mu stopniu rozwoju.

Drugą bazę literacko — wychowawczą stanowią wznowienia polskich klasyków. Klasycy nie są jeszcze dostatecznie wykorzystani, jednak na koncie aktywów poszczególnych wydawnictw figurują zasługi wznowienia Orzeszkowej, Konopnickiej, Prusa, Dygasińskiego. Są to pozycje żelazne, którym czas nie odebrał postępowej ideologii, głębokiego oddziaływania i walorów gwarantujących im nieśmiertelność w stałej poczytności u dorosłych i u dzieci. Wznowienia te mają wielkie znaczenie dla młodego pokolenia czytelników. Wskazując piękne narodowe tradycje polskiej literatury tworzą w umyśle czytającego świadomość ciągłości dóbr kulturalnych, które przekazują z wieku na wiek polską myśl postępową, poprzedzającą współczesny socjalizm.

Całkowicie i inną grupę jakościowo tworzą pozycje literackie, ilościowo najobficiej zasilające rynek literatury dla dzieci i młodzieży: wznowienia z literatury polskiego dwudziestolecia międzywojennego.

Literautra dwudziestolecia międzywojennego wywodząca swoje tradycje z kultury mieszczańskiej, opierająca się na niej, nie jest niczym / więcej jak literaturą burżuazyjną. Literatura ta przedstawia świat mieszczański, z mieszczańskim bohaterem i mieszczańskimi ideałami wychowawczymi. Dobroć wogóle, pielęgnowanie uczuć samych dla siebie, traktowanie spraw dzieci jako oderwanych od spraw ludzi dorosłych — izolowanie dziecka przed życiem, przy odbieraniu mu prawa do sądzenia o wartościach życia — kieruje pisarza a za nim jego czytelnika do bierności i cofania się w głąb samego siebie, by z własnego wnętrza czerpać treści. Z tych założeń płynie wychowawczy ideał tej literatury — mieszczański humanizm. Z tych założeń płynie również indywidualizm i psychologizm, które odbierają dziecku zdolność działania w grupie, radość pracy i tworzenia wespół z innymi trwałych wartości życiowych, a przenoszą jego całą energię na wysiłek, aby być abstrakcyjnie ludzkim, współczującym, dobrym po jakichś długich procesach wglądania w głąb siebie i rozmyślań nad sobą.

Wpadła mi kiedyś w rękę książeczka dla dzieci w wieku lat od 8 — 10 szlachetna w tendencji, dość ładnie napisana. Autorka pragnie tu wpoić w swoich czytelników zamiłowanie do pracy. Daje przeto swoim bohaterom, dzieciom leśniczego, kawałek ziemi, na której im każe się samodzielnie rządzić. Dzieci są autorce posłuszne. Zakładają ogródek, sadzą warzywa i kwiatki, budują nawet mały domek, do którego zapraszają na podwieczorek rodziców. Praca daje dzieciom przyjemne spędzenie wakacyj, uczy je koleżeństwa. Zdawało by się, że wszystko w porządku i książeczka może spełnić pożyteczne zadania. Tak by się zdawało, ale tak nie jest, bo nikt z czytających nie wie, po co autorka każe dzieciom pracować, komu ma służyć praca dzieci. Praca sama w sobie? Bez celu społecznego, bez sensu społecznego bez pożytku? Po co się mamy łudzić? W ten sposób pojęta praca staje się zwykłą zabawą dzieci na wakacjach. Nie należy mylić pojęć. W ten sposób przedstawiony problem ujawnia mieszczański ideał odizolowania dziecka do istotnego przebiegu wydarzeń w jego kraju, stwarza mu fikcję w której nasz milusiński nie miałby możności zetknięcia się ze złem współczesnego mu życia, w której człowiek nie ma nic do gadania, bo decyduje za niego o wszystkim jakiś nieznany rząd któremu mieszczaństwo biernie się podporządkowuje. Tej bierności właśnie autorka daje maskę szlachetnego działania.

Takich pozycyj literatura polska posiada wiele. I takich pozycyj wiele wznowiono. Jedne z nich są, jak ta, o której wyżej wspomniałam, szlachetne w tendencji tylko zupełnie nieporadne ideologicznie, błędne i bezużyteczne wskutek tego. Współczesnemu dziecku nie przydadzą się do niczego. Gorzej jednak, gdy autor świadomie kreuje wsteczną ideologię, a i to się zdarza. Zdarza się przecież niejednokrotnie, że wznowiona książka budzi w nas grozę. Do takich należy np. „Szkoła narzeczonych" Marii Krüger, nawiązująca bezkarnie do czasów niewolnictwa dziewcząt i gloryfikująca idee i stosunki, nad którymi wiele lat temu ubolewali postępowi pisarze (Orzeszkowa — „Marta").

Wśród wznowionych pozycji literackich dwudziestolecia międzywojennego niepoślednie miejsce zajmują książki dla dzieci i młodzieży o charakterze rozrywkowym. Wiele z nich ima się każdego środka, dla podniesienia waloru rozrywkowości.

Celowi temu służy niejednokrotnie egzotyka odrealniona, zupełnie już nieprawdziwa, egzotyka nieistniejących krajów czasów i ludzi, celowi temu służy również poszukiwanie nadzwyczajności, gonitwa za paradoksem, nonsensem. Literaturę tę znakomicie reprezentuje historia o Koziołku Matołku i wszystkie po niej dziesiąte wody, zawracające w głowie wcale nawet poważnym pisarzom. W ślad za tego typu pisarstwem podąża literatura oparta w połowie na rysunku w połowie na czterowierszach tekstu rymowanego, pojawiająca się raz wraz w pismach codziennych.

Literatura ta jako główne zadanie stawia sobie niefrasobliwe zabawienie swego czytelnika. Źródła jej tkwią w idei ucieczki do rzeczywistości tak gorliwie wyznawanej przez pisarzy dwudziestolecia międzywojennego. Pod względem środków wyrazu jest często rasowym przykładem formalizmu.

Byłoby jednak niesprawiedliwością i zafałszowaniem obrazu faktycznego, gdyby nie wymienić we wznowieniach literatury dwudziestolecia międzywojennego pozycyj cennych pod względem artystycznym i pedagogicznym. Reprezentują je nazwiska Tuwima, Broniewskiego, Porazińskiej, Krzemienieckiej, Broniewskiej, Boblńskiej, Januszewskiej, Mortkowicz - Olczakowej. Literatura to wszakże nieobfita i jakkolwiek powstała w najlepszych intencjach, to przecież nie rozwija tego wszystkiego, co autorzy mogliby i chcieliby dać.

Nieobfity również jest plon literacki powojenny, zapoczątkowujący nową współczesną literaturę dla dzieci i młodzieży. Powojenna twórczość Krzemienieckiej, Grodzieńskiej, Koszutskiej, Wasilewskiej, Newerlyego, Bobińskiej, Broniewskiej, Brzechwy, Milskiej i Markowskiej daje próby przezwyciężenia tradycji mieszczańskich i wprowadzenia treści bliskich ideom nowego budującego się ustroju. Zadanie trudne i nieuwieńczone dotąd jeszcze całkowitym sukcesem. Różne tu ambicje, różne osiągnięcia, różny stopień przezwyciężenia trudności. Na czoło wysuwają się nazwiska Wasilewskiej, Neverly'ego i Broniewskiej.

Pisarzom tym pomaga w ich dziele uświadomienie polityczne i szczera pasja piewców nowej epoki.

Brakom w literaturze dla dzieci i młodzieży zaradzić usiłują redakcje pisemek. Zainicjowana na wiosnę przez Prezydium Rady Ministrów dyskusja nad poziomem pism dla dzieci i młodzieży odsłoniła poważne niedociągnięcia. Pisma te bowiem nie mając odpowiedniej ilości dobrych piór, dają przeważnie materiał czytankowy, nie zaś prawdziwie literacki i stają się w ten sposób czymś w rodzaju podpory w nauczaniu na poziomie szkoły podstawowej. Nowe treści współczesnego życia trudne do przedstawienia, bo rewolucyjne, bo nieoparte na żadnych tradycjach znanych, ujawniają tu niejednokrotnie nieporadność pisarzy lub brak zrozumienia dla wagi poruszonych zagadnień. Nuda, doktrynerstwo i zrutynizowanie wyciskają piętno na wielu numerach pisemek dla dzieci i młodzieży.

Kiedy mówimy dziś o literaturze nowej, tej którą dopiero mamy stworzyć, a która ma skutecznie zadziałać na nowe pokolenie uzgodnić musimy kilka jej cech. Jakież to cechy?

Piszemy dla dzieci i młodzieży, która wrasta w nowy tworzący się ustrój socjalistyczny, stąd jasno wynika:

1) Nietylko obraz otaczającego świata, ale i historia i wizja przyszłości podawane dziecku muszą być zbudowane na gruncie materializmu dialektycznego

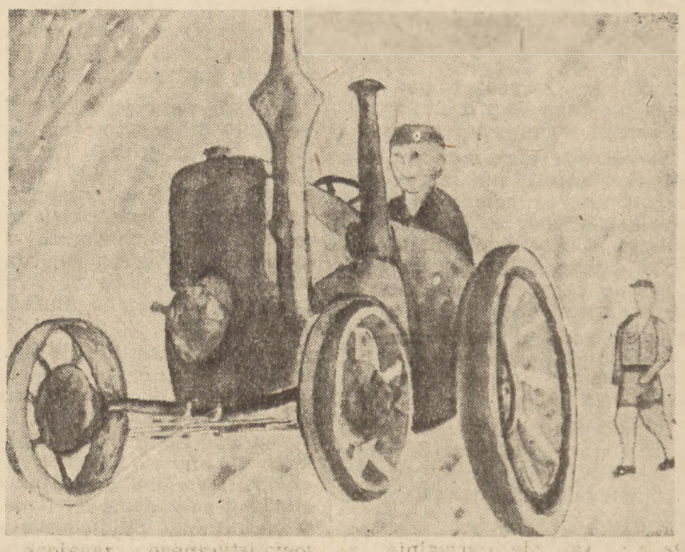

Rysunek St. Poletko ze szkoły podst. w Koszycach.

Z tej metody widzenia świata i jego prawd wynika konieczność jasnego obrazu ustroju, który dziecko powinno zrozumieć i pokochać.

2) Tylko taka literatura będzie doprawdy wychowywała człowieka zdolnego do podjęcia trudu budowania i rozwijania ustroju socjalistycznego.

3) Literatura ta wychowa człowieka myślącego i działającego kolektywnie, będzie ona uczyła młodzież właściwego stosunku do pracy, do towarzyszy pracy, będzie dawała radość życia i radość tworzenia.

4) Literatura taka będzie wychowywała człowieka ofiarnego i aktywnego w pełni rozumiejącego społeczną odpowedzialność za swoją postawę i swoje postępowanie. Powierzone zadanie i odpowiedzialność za wykonanie dziecko pojmować powinno tak, jakby od niego jednego zależały losy budowania socjalizmu.

5) Literatura ta musi sięgnąć po tematy i po problemy wprost do życia, do odbudowy kraju, do pracy szkolnej i poza szkolnej, nauki, organizacyj młodzieżowych, by z samego życia wyciągnąć fabułę żywą, interesującą młodego czytelnika, by na samym życiu ufundować trwałe wartości pedagogiczne i ideologiczne, by bohater pozytywny naszych wielkich czasów, na którego czeka czytelnik, wyrósł z tego życia, które dziecko zna, czuje, widzi.

Wymieniliśmy szereg tez ideologicznych, sprecyzować trzeba również wymogi formalne dla tej literatury o której mówimy. Socjalityczna, ugruntowana na materializmie dialektycznym, treść dzieła wyrażona być może jedynie realistyczną formą. Zjazd wiele już powiedział, wiele jeszcze powie o realiźmie socjalistycznym. Wszystkie zasady tego realizmu stosują się i do literatury dla dzieci i młodzieży a obowiązują pod specjalną odpowiedzialnością, wynikającą ze specyfiki czytelnika, jego wieku i mentalności, wynikającą ze specyfiki zagadnień pedagogiczych w stosuku do tego czytelnika.

Czy tezy zestawione powyżej zacieśniają granice nowej literatury? Nie. Wprost przeciwnie. Gwarantują jej warunki rozwoju i rozkwitu, otwierają jej nowe możliwości. Materiał, jaki w tej chwili dostarcza nam zycie jest wspaniały, atmosfera, w której mamy wychować dziecko— czysta, zadania, do których mamy przygotować młode pokolenie — na miarę bohaterską. Od nas zależy jednak, czy potrafimy wiekowi wielkich spraw nadać blask nowej niezwykłości i nowej romantyki, opartych nie na abstrakcyjnej fantastyce, ale na realiźmie wielkich marzeń, wielkich dramatów, wielkiego rozmachu. Od nas to wszystko zależy.

Ale to nie tylko sprawa dobrej woli. To sprawa przede wszystkim naszego emocjonalnego stosunku do tego, co się dzieje wśród nas i co przekazujemy w książce. Dzieło nie da się bowiem zafałszować. Prawda wewnętrzna pisarza wypłynie na wierzch w przeżyciu czytelnika.

Pragniemy wszyscy dobrej literatury dla dzieci i młodzieży pragniemy i staramy się ją tworzyć. Na zakończenie stwierdzić również trzeba, że o tyle, o ile ważna jest nasza orientacja w zadaniach literatury i nasza wola tworzenia nowych wartości, o tyle ważna jest również pomoc czynników w naszej pracy. W związku z tym deklarujemy i stawiamy następujące wnioski:

1) Wzmagamy poczucie odpowiedzialności za nasze pisarstwo, prowadzimy walkę o jakość literatury, o nowy do niej stosunek.

2) Dokształcamy się w zakresie marksizmu-leninizmu i pedagogiki współczesnej.

3) Zwracamy się do nowego Zarządu ZLP z wnioskiem o stworzenie sekcji literatury dla dzieci i młodzieży.

4) Zwracamy się do Zarządu ZLP z prośbą o pośredniczenie między nami a wydawnictwami w sprawie udzielania pomocy finansowej pisarzom pracującym nad konkretnym zadaniem literackim, o interwencje w sprawie postawienia na właściwym gruncie recenzji wydawniczych, które dotąd jeszcze ze szkodą dla pisarzy są anonimowe i niecdpowiedzialne, o odpowiednie traktowanie pisarzy przez redaktorów działu wydawnictw dla dzieci i młodzieży.

5) Prosimy zarząd o włączenie piszących dla dzieci i młodzieży do akcji wyjazdów w teren.

6) Apelujemy do krytyków literackich o ich zainteresowanie dla spraw literatury dla dzieci i młodzieży. Pragniemy, aby nasze książki były oceniane na równi z innymi pozycjami literackimi, aby krytyka notowała nasze błędy i nasze osiągnięcia.

Wanda Żółkiewska

*) Przemówienie na Zjeździe Delegatów ZLP dn. 25.VI. br.

Wiktoria Dewitzowa

Piszcie dla dzieci*)

Dobra książka dla dzieci, to dziś nie tylko poważne zagadnienie literackie, to także palący codzienny problem w naszej pracy wychowawczej. Braki, istniejące na tym odcinku, odczuwamy codziennie i chciałabym o tych brakach i o tych zadaniach mówić słowami samych dzieci, słowami, które docierają do nas w codziennych rozmowach w szkole, na zbiórkach harcerskich, które docierają do nas w postaci listów dzieci z całej Polski, dzieci starszych, mówiących jak gdyby w imieniu swych najmłodszych kolegów, nie znajdujących jeszcze wyrazu dla swoich pragnień.

Janusz Laskowski, lat 13, z Katowic: „Książka, o której marzę, byłaby książką przedstawiającą życie nas, chłopców i dziewczyn, o naszym życiu, szkole i kłopotach codziennych, żeby ta książka była wzorem i wskazówką naszych wszystkich czynów."

Gałązka Artur, lat 15, z Buska Zdroju: „Bohater mojej wymarzonej książki powinien być żywym, otwartym, zdolnym, choć troszkę leniwym chłopcem. Dlaczego leniwym? Ażeby przy końcu książki wziął się porządnie do roboty i wyszedł na prymusa. Chciałbym widzieć go odpowiadającego przy tablicy, grającego w „cymbergaja", pracującego w organizacji młodzieżowej, jeżdżącego z werwą na nartach, organizującego spółdzielnię uczniowską i pomagającego matce w rąbaniu drzewa. Chcę znać jego troski i pragnienia, jego radości i przykrości. Ale nie chcę, by mój bohater był sztywnym, papierowym typem. Nie chcę, aby zawsze wszystko robił dobrze, by był ideałem. O, nie. Niech gra w piłkę i dostanie czasem dwóję (byle się z niej wyciągnął). Niech się czasami pobije na korytarzu, czy wybije szybę. Taka niech będzie moja wymarzona książka."

To, co piszą dzieci, jest chyba wyraźnym wołaniem właśnie o poważny realizm socjalistyczny w literaturze dla nich. Że dzieci umieją wybierać, że one same czują to, co my z naszej praktyki wiemy, iż tylko poważne traktowanie zadania, tylko prawdziwy artyzm, robi z książki niezawodne narzędzie wychowawcze, to pokazują wypowiedzi dzieci na temat książki radzieckiej.

O książce „Timur i jego drużyna" Gremny Mariusz, lat 14, z Ciechanowa pisze: „Taka książka jak np. „Timur i jego drużyna" musi podobać się każdemu. Jeżeli czytam książkę o młodzieży radzieckiej, to każda postać jest dla mnie tak prosta i bliska, że mógłbym podobną wskazać w swoim otoczeniu. To są książki o prawdziwym życiu, o prawdziwej młodzieży. Często zastanawiam się dlaczego u nas nie ma takich książek. Ja marzę właśnie o takich książkach. Chcę, żeby te książki były proste, żeby opisywały życie nasze i jego troski, zmartwienia i radości. Chcę, żeby opowiadały o życiu naszego harcerstwa, o życiu kolegów z ZMP, o naszej pracy w szkole i w domu, w fabryce i na roli, w mieście i na wsi."

Danuta Marzec, lat 15, z Bielska: „Tak się dziwnie składa, że książki, które mi się podobały, były rosyjskich autorów. Książki te czytałam z zapartym tchem. Przedstawiały one prostotę, a zarazem potęgę młodzieży, jej beztroską zabawę w czasie pokoju i walkę z wrogiem w czasie wojny. Szczególnie z tych książek podobała mi się „Młoda Gwardia". Martwi mnie jednak to, że polscy pisarze nie piszą takich książek. A przecież młodzież polska też potrafi cieszyć się szczęściem drugich, też potrafi ginąć za ojczyznę, jest tak samo wesoła. Marzę o książce polskiego autora, która opowie o nas, o młodzieży polskiej."

Dzieci dopominają się o to, ażeby książka pokazała im wzór, żeby była dla nich drogowskazem w tych wszystkich problemach, w tych trudnościach, w tej walce, która ma miejsce w środowisku dziecięcym, w życiu koleżeńskim, w życiu domowym.

Jest wzruszająca wypowiedź jednej z dziewczynek, która powiada tak: „Ja wiem, że my jeszcze nie pracujemy tak, jak dzieci radzieckie w szkole, ale czy nie znalazłby się w szkole ani jeden taki polski chłopiec, o którym warto by napisać?" Wydaje mi się, że takie wołanie nie powinno pozostać bez odpowiedzi. Dzieci żądają od książek moralnej wartości, domagają się wzoru, szukają w książce pomocy dla siebie, chciałyby znaleźć tam rozwiązanie własnych problemów, z którymi spotykają się w swoim środowisku. Pytają się wyraźnie, jak ma postąpić dzisiaj dziecko, ażeby być dobrym Polakiem.

Obecne książki dla dzieci nie dają jeszcze naszym najmłodszym czytelnikom odpowiedzi na ich pytania i nie pomagają nam wychowawcom w pracy. Patriotyzm dziecka, jego rodzący się nowy stosunek do kraju, jego stosunek do zadań szkolnych, które dziecko zaczyna rozumieć, nie znajduje swojej pożywki w literaturze dziecięcej, nie ma na czym rosnąć. Brak jest książek, które pokazywałyby dzieciom moralny sens naszego życia, jego przemiany, które porywałyby do zadań tak jak książka Gajdara, która stworzyła ruch Timurowców. Dzieci dopominają się o taką książkę. Piszą tak: „Niech to będą książki o temacie obecnej chwili, bo to najbardziej przemawia, niech to będą książki o techniku, inżynierze, uczonym, który swą wytężoną pracą, mimo przeciwności, osiągają postawiony sobie cel. Niech to będzie książka o sportowcu polskim, który przez wytrwałą pracę nad sobą osiąga wspaniałe wyniki i przysparza chwały sportowi polskiemu, niech to będzie książka o chłopcu-bohaterze, wykazującym męski hart ducha i zwalczającym zło."

Wiele dzieci wymienia w listach, proszących o dobrą książkę swoich znajomych i bliskich. „Mój ojciec jest przodownikiem pracy w fabryce, mój brat dokonał racjonalizatorskiego wynalazku". Opisuję trud, jaki ten brat-racjonalizator włożył w swój pomysł.

Nasza literatura dziecięca o tematyce współczesnej, to książki przeważnie dla młodszych dzieci i w ogromnej większości pozbawione dwóch niezbędnych czynników: porywającego bohatera i akcji. Dlatego wśród naszych czytelników dzieci, największym uznaniem cieszy się „Opowieść o prawdziwym człowieku": — „było tam bardzo dużo trudnych rzeczy, ale mi się bardzo podobały." Albo proszą o takie książki jak „Człowiek, który się kulom nie kłaniał". Takich książek mamy za mało. W przeciwieństwie do tego muszę wymienić „Młynek mielący" Gałczyńskiego. Jedenastoletnia harcerka po przeczytaniu tej książki wyraziła swój sąd: „poco takie głupstwa piszą, kiedy to są poważne sprawy."

Wydaje mi się, że ten sąd jest bardzo trafny. Nie wolno pisać głupstw dla dzieci i nie wolno pisać dla dzieci książek o treści niepoważnej. Nasze dzieci dopominają się o treść żywą. W tych wypadkach musimy czerpać przykład ze Związku Radzieckiego. Piszą chłopcy: „chcielibyśmy książki tak jak dawniej o Indianach, ale niech to będzie o Vietnamie, tam się też biją w lasach i bardzo dzielnie, więc chcemy, żeby oni zwyciężyli."

Tak rozumują dzieci dzisiejsze.

Podczas ostatniej bytności w Związku Radzieckim mogłam się przekonać, jak poważnie traktowana jest tam literatura dla dziecka i jakie zajmuje miejsce. Żaden z poważnych literatów radzieckich nie uważa za ujmę wziąć za pióro i napisać do „Pionierskiej Prawdy".

Wydaje się, że te sprawy literatury młodzieżowej są bardzo poważne i powinny być wzięte pod uwagę w naszej pracy. Jest to zadanie, które zostało podjęte w Czechosłowacji i w Związku Radzieckim. Literatura dziecięca czeka na wyciągniecie wniosków z doświadczeń z literatury radzieckiej. W Związku Radzieckim nadchodzi rocznie 35 tys. wypowiedzi dzieci na tematy książek o poszczególnych autorach. Pisarze tej miary co Michalik, Pawlenko przychodzą i studiują wypowiedzi swych czytelników.

To są nasze drogowskazy i mnie się wydaje, że nasi pisarze uzyskaliby dużo wartościowego materiału, gdybyśmy w swej pracy wzięli pod uwagę te wypowiedzi naszych czytelników-dzieci.

Wiktoria Dewitzowa

*) Fragment przemówienia na Zjeździe Delegatów Z. L. P. dn. 24.VI. 1950

STEFAN WILANOWSKI

O T O K O R E A!

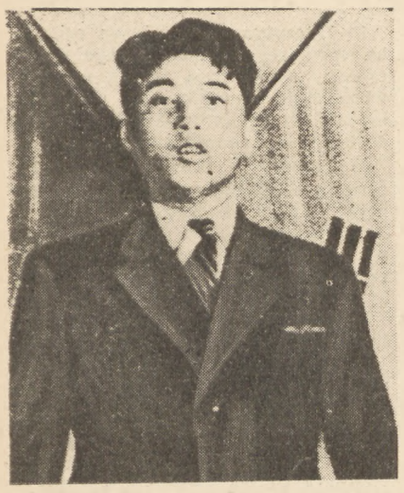

Gen. Kim-Ir Sen, premier Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej.

Od kilkunastu dni cała postępowa opinia świata z rosnącym oburzeniem śledzi rozwój sytuacji w Korei. Pozostający na usługach wielkiego kapitału reżim Li Syn-Mana wywołał w Korei wojnę domową, która przerodziła się w otwartą agresję imperialistów amerykańskich przeciw narodowi koreańskiemu.

Uwaga światowego obozu pokoju z podziwem i uznaniem odnosi się do bohaterskiego narodu, który pod przewodnictwem Partii Pracy i jej kierownika Kim Ir-Sena zdecydowanie i skutecznie wystąpił przeciw rodzimej reakcji i przeciwstawił się perfidnie zorganizowanej napaści, zmierzającej do uczynienia z Korei nowej kolonii amerykańskiej. Walka narodu koreańskiego jest walką o jego społeczne narodowe, polityczne wyzwolenie i zjednoczenie, jest walką milionów ludzi o możliwość pokojowej pracy nad budową demokratycznej ojczyzny. Artykuł poniższy informuje o historii, gospodarce i dążeniach narodu koreańskiego.

Korea mierzy 220 tysięcy kilometrów kwadratowych i liczy około 28 milionów ludności. Półwysep Koreański, który ze wschodu oblewa Morze Japońskie a z zachodu Morze Żółte, mierzy w najszerszym punkcie 400 km., i jest długi 800 km. Nieregularne brzegi Korei mierzą 17.300 km.

Przed najazdem japońskim chłopów koreańskich eksploatowali rodzimi obszarnicy i lichwiarze. Po podboju stali się nadto ofiarami imperializmu japońskiego.

Od 1905 r. do 1910 r. Korea była „pod protektoratem" Japonii. W 1910 r. nastąpiła prosta aneksja. Korea została wcielona do Japonii, jako generalne gubernatorstwo.

Już w końcu ubiegłego wieku rozpoczęła się zorganizowana penetracja japońska do Korei: Japończycy zaczęli wykupywać ziemię.

W początkach bieżącego stulecia gospodarka Korei, tak jak gospodarka Chin i całego szeregu państw azjatyckich opierała się na rolnictwie. Chcąc ekonomicznie opanować Koreę, Japończycy musieli przede wszystkim opanować jej gospodarkę rolną.

Już w okresie protektoratu za grosze wykupili od chłopów setki tysięcy jongbo (czyt. dżongbo). Jongbo — 0,9 ha.

Do wywłaszczenia chłopów koreańskich z ziemi Japończycy używali tak instytucji państwowych, jak półpaństwowych i osób prywatnych.

W 1908 r. powołane zostało do życia Wschodnie Towarzystwo Kolonizacyjne. To był ośrodek, który planowo kierował akcją wywłaszczeniową i organizował aparat kolonialnego wyzysku. Wymienione Wschodnie Tow. Kolonizacyjne powołało do życia szereg instytucji i organizacji, które pozornie miały służyć do gospodarczego podniesienia kraju, a faktycznie były środkiem do wywłaszczenia chłopów z ziemi, i imperialistycznej eksploatacji. A więc powstały Wiejskie Stowarzyszenia Pieniężne, Towarzystwa dla używania wody, Wschodnie Towarzystwo dla Gospodarczego Rozwoju, wreszcie Bank dla Kolonizacji Korei.

W jaki sposób Japończycy wywłaszczali chłopów koreańskich?

Wiele ziemi chłopskiej nie miało rejestrów. Chłopi uprawiali tę ziemię od wieków, i nikt tego nie kwestionował. Wykorzystując fakt, że chłopi nie mieli dokumentów własności, Japończycy przejęli tę ziemię na rzecz państwa. Dla celów podatkowych chłopi ujawniali w rejestrach podatkowych mniejsze działki, niż faktycznie posiadali. Japończycy wywłaszczyli chłopów z części działek, które nie figurowały w rejestrach podatkowych. Ponadto istniały wywłaszczenia „dla celów państwowych". Dziwnym zbiegiem okoliczności państwu były potrzebne zawsze najlepsze działki rolne.

Z ogólnej liczby 4.600.000 ha — 130 tysięcy ha posiadało w 1934 r. Wschodnie Towarzystwo Kolonizacyjne, zaś około 65 proc. uprawnej ziemi było zależne od wyżej wymienionych organizacji japońskich „dla gospodarczego rozwoju".

W 1942 r. już około 420 tysięcy ha było w rękach obszarników i bogatych chłopów japońskich.

Ponieważ ziemia nie mogła leżeć odłogiem, Wschodnie Tow. Kolonizacyjne zaczęło wydzierżawiać ziemię i chłopom koreańskim oczywiście na lichwiarskich warunkach. A kandydatów na dzierżawców było dużo.

Proces wywłaszczania chłopów z ziemi odbywał się bardzo szybko. Gdy w 1914 r. liczba najbardziej wyzyskiwanych — tj. dzierżawców — wynosiła 900 tysięcy, w roku 1942 już jest 1.640.000 chłopów bez własnej ziemi, chłopów dzierżawców. W ciągu 28 lat liczba ich wzrosła o 80 proc.

Dzięki odpowiedniej polityce japońskiej gospodarowanie na ziemi stało się zajęciem deficytowym. Chłopi byli obdłużeni przeważnie ponad wartość majątków. Często faktycznymi właścicielami byli wierzyciele - lichwiarze. Tym ostatnim było nieraz wygodniej nie przejmować gruntu na własność i trzymać chłopów - dłużników w niewoli.

Autorka artykułu o Wpływie Rewolucji Październikowej na ruchy chłopskie w Korei („Woprosy istorji", Nr 6 1949 r. str. 6) F. Szabszyna przytacza fakt następujący: Gdy w 1931 r. zapytała pewnego chłopa koło Seulu, ile ma on dochodu z gospodarstwa, tenże odpowiedział: „Nie pytajcie nigdy chłopa koreańskiego, ile ma dochodu, a pytajcie go, ile ma długu".

W 1943 r. 80 proc. chłopów koreańskich miało tak drobne kawałki gruntu, że nie mogli z nich wyżyć, i musieli dodatkowo wydzierżawiać ziemię u obszarników.

Japończycy nie tylko nie zwalczali, ale popierali koreańskich obszarników, uważając ich za podporę imperializmu japońskiego.

Nie było żadnego ograniczenia przy określaniu tenuty dzierżawnej. Obszarnik starał się wydusić z chłopa, ile się tylko dało. Przeciętnie tenuta dzierżawna wynosiła 60 do 80 proc. plonów. Do tego dochodziły różnego rodzaju feodalne powinności, jak: młócenie zboża obszarnika, bezpłatny przewóz dla niego itp. Umowy dzierżawne były z reguły zawierane na rok, i dzierżawca ciągle drżał z obawy, że rok się skończy, i on straci i ten nędzny środek utrzymania. Obszarnicy z reguły mieszkali w miastach. Na wsi działali w ich imieniu pełnomocnicy-pośrednicy. Oni dostawali dodatkowo od chłopa - dzierżawcy procent, chłop obrabiał im darmo ziemię itp. Pomimo tenuty dzierżawnej, na chłopach ciążyły jeszcze różne podatki i ciężary. Liczba ich dochodziła do 50, a w tej liczbie było 11 różnych podatków bezpośrednich („Komunisticzeskij Internacjonał" Nr 17, 1934 r., str. 19).

Nie sposób nie wspomnieć jeszcze o dwóch pojęciach specyficznie koreańskich, mianowicie „czunkung" i „hwadzijonmin".

Czungkung — to wiosenna bieda. Na wiosnę chłop koreański bowiem z reguły przymierał głodem.

Hwadzijonminy to ludzie „ogniowych pól". Biedni chłopi, chcąc nie umrzeć z głodu, szli w niezamieszkałe obszary, karczowali lasy i grunta pokryte krzewami, wypalając grunta. Stąd — ogniowe pola. Normalnie, gdy „ogniowe pola" były gotowe do uprawy, zjawiali się jak spod ziemi właściciele, i żądali tenuty dzierżawnej. Wtedy hwadzijonmin musiał opuścić wykarczowane pole, i szukać nowych terenów. Powstało przysłowie: „Biedny jak hwadzijonmin" (Szabszyna, art. cyt. str. 6).

W 1941 r. było 59.300 zagród hwadzijonminów, na których żyło 320 tysięcy ludzi. Obrabiali oni 134.000 ha „ogniowych pól".

Ponieważ tenuta dzierżawna była wysoka, a dzierżawione działki — małe, wielu dzierżawców, poza dzierżawionymi gruntami, obrabiało „ogniowe pola", by jakoś przeżyć. W tymże 1941 r. 210 tysięcy rodzin dzierżawców (1.124.000 ludzi) obrabiało, poza dzierżawionymi, jeszcze 260 tysięcy ha „ogniowych pól".

Na uwagę zasługuje jeszcze japońska polityka, dotycząca produkcji ryżu. Gdy Japonia potrzebowała więcej ryżu, rząd japoński nakazywał zwiększenie produkcji ryżu w Korei. To ostatnie wymagało nawadniania pól przez Towarzystwa dla używania wody. Ponieważ opłaty za nawadnianie były ponad normę wysokie, z reguły chłopi nie byli w stanie tych opłat uregulować, i ziemia chłopa koreańskiego przechodziła na własność Towarzystwa dla używania wody. Japońska polityka ryżowa prowadziła do wywłaszczania z ziemi chłopów koreańskich. W 1929 r. wymienione towarzystwo już było właścicielem połowy wszystkich pól ryżowych w Korei.

Pod bezpośrednim wpływem Wielkiej Rewolucji Październikowej w marcu 1919 r. w Korei zaczęły się demonstracje antyjapońskie. Demonstracje zamieniły się w powstanie, krwawo stłumione przez Japończyków. W powstaniu brali uddział w większości chłopi. Ich udział nadał całemu ruchowi charakter masowy, i przygotował podstawy dla ruchu narodowo-wyzwoleńczego. W 1923 r. powstaje „Koreańskie Towarzystwo Robotniczo - Chłopskie" i „Południowo-Koreańska Federacja Robotniczo-Chłopska". W 1924 r. powstał „Powszechny Koreański Robotniczo - Chłopski Związek". Ale te organizacje były stosunkowo słabe.

W 1925 r. powstała Komunistyczna Partia Korei.

W 1929 r. i w 1930 r. wybuchają bunty chłopskie, chłopi odmawiają uiszczania podatków, napadają na posterunki policyjne, palą dwory obszarników, niszczą dowody lichwiarskich umów dzierżawnych i pożyczek.

Ruchy te zostały stłumione, lecz nie stłumione zostało dążenie do wyzwolenia ludu koreańskiego.

W rezultacie drugiej wojny światowej do Północnej Korei wkroczyła Armia Radziecka, zaś Południową okupowały wojska Stanów Zjednoczonych. Północna Korea obejmuje 57 proc. terytorium i 2/5 ludności. Według danych z 1939 r. w Północnej Korei wydobywa się 99,9 proc. rudy żelaznej, 99,5 proc. antracytu, 97,7 proc. węgla brunatnego, 78,5 proc. wolframu i molibdenu, 72 proc. złota i srebra. W 1937 r. Północna Korea dawała 92,7 proc. całej produkcji metalurgicznej i 85,7 proc. produkcji chemicznej. W kombinacie chemicznym w Hynnamie pracowało w czasie wojny 40 tysięcy robotników.

Południowa Korea daje 69 proc. produkcji ryżu, 85,7 proc. jęczmienia, 77,3 proc. — bawełny (dane z 1937 r.). Jak widać z powyższego przemysł a zatem i masy robotnicze są skoncentrowane w Korei Północnej.

Klasa robotnicza Korei była wyzyskiwana przez japońskich imperialistów. Robotnicy pracowali po kilkanaście godzin dziennie za połowę płacy Japończyka. Kobiety z reguły otrzymywały jeszcze o połowę mniej.

Pod naciskiem ludu koreańskiego władze japońskie w sierpniu 1945 r., jeszcze przed wejściem wojsk radzieckich i amerykańskich, zmuszone były oswobodzić więźniów politycznych. Komuniści koreańscy 20 sierpnia 1945 r. pod przewodnictwem Pak - Chen - Ena przystąpili do odbudowy Komunistycznej Partii Korei, która stała się bojowym centrum demokratycznych i postępowych sił kraju.

Zaraz po kapitulacji Japonii w stolicy Korei, Seulu, utworzył się Komitet Przygotowawczy dla organizacji władzy państwowej w Korei. Równocześnie w całym kraju tak w Północnej jak i w Południowej Korei zaczęły powstawać lokalne komitety narodowe. Różnie się one nazywały, ale wszystkie były organami władzy ludowej kraju.

6 września 1945 r. odbył się w Seulu zjazd ogólnokrajowy, na który przybyło 1000 delegatów z całej Korei; brały w nim udział różne partie i reprezentowane były różne kierunki. Został wybrany Centralny Komitet Narodowy Koreańskiej Republiki. Komitet ogłosił deklarację; postanowiono: stworzyć państwo niepodległe tak w sensie politycznym jak i gospodarczym, zlikwidować resztki japońskiego imperializmu i feodalne przeżytki i według zasad prawdziwej demokracji zaspakajać polityczne, ekonomiczne i socjalne potrzeby narodu, zabezpieczyć jak najszybsze podniesienie stopy życiowej robotników, chłopów i wszystkich pracujących, uczynić Koreę krajem demokratycznym i razem z innymi krajami utrwalać pokój.

By zrealizować wyłuszczone zasady, postanowiono: 1) natychmiast uchylić wszystkie przepisy prawne, wydane przez japońskie władze kolonialne, 2) unarodowić ziemię japońskich okupantów i koreańskich kollaboracjonistów i rozdzielić ją bezpłatnie między chłopów, 3) unarodowić wszystkie należące do Japończyków fabryki, zakłady, kopalnie, koleje żelazne, transport morski, banki i środki łączności, 4) wziąć pod kontrolę państwową wszystkie przedsiębiorstwa przemysłowe i handlowe, 5) ustanowić 8-godzinny dzień roboczy, 6-godzinny dzień roboczy dla pracowników nie mających 18 lat, zabronić pracy młodocianych niżej 14 lat, 6) zabezpieczyć narodowi koreańskiemu swobody polityczne: wolność słowa, prasy, zebrań, związków, demonstracji i wyznania, 7) przyznać prawa wyborcze wszystkim obywatelom, którzy ukończyli lat 18, bez różnicy płci, z wyjątkiem zdrajców, i 8) wprowadzić powszechne obowiązkowe nauczanie.

Oczywiście, że te demokratyczne reformy mogły być wprowadzone jedynie w Północnej Korei, dzięki pomocy Armii Radzieckiej, która podtrzymała inicjatywę mas ludowych, i uznała Przygotowawcze Komitety za legalne organy władzy państwowej.

W październiku 1945 r. zostało zorganizowane Biuro Organizacyjne Centralnego Komitetu Komunistycznej Partii Korei, pod przewodnictwem zasłużonego działacza Kim Ir Sena, obecnie premiera rządu. Komunistyczna Partia stanęła na czele narodu w walce o osiągnięcie ustroju demokratycznego i stworzenie jednego niezawisłego państwa koreańskiego. Pod przewodnictwem K. P. Korei zorganizowane zostały w Północnej Korei związki zawodowe, komunistyczny związek młodzieży, organizacja demokratyczna kobiet. Powstał szereg związków chłopskich, które następnie połączyły się w jeden związek chłopski.

Reformy demokratyczne dały Korei wiele. Chłopi otrzymali ziemię. Odbudowane fabryki przekroczyły produkcję przedwojenną. Podniosła się stopa życiowa obywateli.

Wręcz przeciwnie przedstawiała się sytuacja w Korei Południowej. Amerykanie nie uznali Komitetów Przygotowawczych, faktycznych reprezentacji narodu koreańskiego. Oparli się oni początkowo na samych Japończykach, a gdy to już było za bardzo rażące, na Koreańczykach „obeznanych z administracją". Obeznanymi z administracją byli kollaboracjoniści, zdrajcy narodu koreańskiego, którzy służąc Japończykom „zapoznawali się z administracją". Na czele administracji południowej Korei stoi notoryczny zdrajca narodu Li Syn Man.

Gdy w Północnej Korei dokonano demokratycznej reformy rolnej, skonfiskowaną Japończykom ziemię Li Syn Man rozprzedaje. Jak stwierdza w miesięczniku londyńskim (Asian Horizon, Vol. 2 Nr 1, 1949) Sunoo Hag-W'on w artykule pod tyt. Problemy Polityki Koreańskiej, ziemię w południowej Korei mogą nabywać: 1) obecni obszarnicy i wielcy kapitaliści, 2) ludzie przez obszarników i kapitalistów finansowani (głównie na skutek związków rodzinnych lub małżeństwa), 3) spekulanci - obszarnicy, nabywający ziemię na imię osób podstawionych. Co to da w przyszłości? — zapytuje autor artykułu. 1) będzie utrzymany dalej ostry kontrast między obszarnikami a dzierżawcami, 2) gospodarka chłopska będzie zależna od kapitalistów miejskich, 3) system feodalny będzie utrzymany, 4) stworzy się warunki dla „gwałtownej" rewolucji.

To co było widoczne dla autora artykułu w angielskim miesięczniku, stało się widoczne tym bardziej dla koreańskiego narodu.

Imperializm amerykański, który przegrał w Chinach, znęca się nad nieszczęśliwym koreańskim narodem, który nie chce niczego więcej, tylko, by go ci amerykańscy uszczęśliwiacze zostawili sobie samemu. Bandyci amerykańscy, wyczuwając swoją zagładę, nie tylko sami mordują dzieci i kobiety Korei, rzucając bomby na ludność cywilną, ale mobilizują do tego celu wszystkich łajdaków globu ziemskiego.

Stefan Wilanowski

JERZY MICHALSKI

LUDZIE „LUŹNI"

Problem ludzi „luźnych" w dawnej Polsce postawiony został właściwie po raz pierwszy dopiero w powojennej literaturze naukowej rozprawą N. Assorodobraj p.t. „Początki klasy robotniczej". Autorka, prowadząc badania nad jednym z pierwszorzędnych zagadnień okresu załamywania się feudalizmu i powstawania nowych form gospodarki kapitalistycznej w Polsce, a mianowicie nad problemem rąk roboczych dla powstającego w XVIII wieku przemysłu manufakturowego, zetknęła się z omawianym bardzo żywo w owym czasie zjawiskiem istnienia poważnej kategorii t.zw. ludzi „luźnych" (na oznaczenie której używano zresztą współcześnie rozmaitych określeń jak: „włóczęgi", „hultaje", „ludzie swawolni" itp.) — ludzi stojących właściwie na marginesie ówczesnego ustroju społecznego. Autorka w oparciu o materiały jakich jej dostarczyła ówczesna publicystyka i akty ówczesnych władz administracyjnych (protokuły tzw. komisji cywilno-wojskowych, działających w okresie sejmu czteroletniego) dała żywy i bogaty w szczegóły obraz ludzi „luźnych". Rekrutowali się oni z różnych klas społecznych, przede wszystkim z poddańczej ludności chłopskiej, zbiegłej z pańszczyźnianych wsi, z mieszczan z małych miasteczek, ze służby domowej szlachty, z biedoty żydowskiej, wreszcie niekiedy z zdeklasowanych elementów szlacheckich. Charakterystycznym dla tych ludzi była płynność i zmienność sposobów zarobkowania. Podstawą były prace dorywcze najrozmaitszego rodzaju, przede wszystkim prace sezonowe w rolnictwie jak żniwa, sianokosy itp., wynajmowanie się do prac w rodzaju rąbaniu drzewa, kopania rowów itd. służby osobistej u szlachty i zamożniejszych mieszczan, dalej drobny handel, żebractwo zarówno w formie ulicznego żebractwa miejskiego jak i włóczęgostwa po wsiach od chaty do chaty, wreszcie nierzadkie były wypadki uprawiania przez „luźnych" złodziejstwa czy nawet bandytyzmu.

Taki rodzaj źródeł utrzymania zmuszał tę kategorię ludności do ciągłej zmiany miejsca pobytu, do stałego włóczęgostwa, które stawało się wprost nałogiem i było zdaniem autorki jedną z najistotniejszych cech — ludzi „luźnych". Szlachta i bogatsi mieszczanie odnosili się do ludzi „luźnych" wrogo. Pragnęli oni znieść swobodę zmieniania miejsca i rodzaju pracy, skasować swobodę poruszania się „luźnych" po kraju i zmusić ich do obrania stałego miejsca zamieszkania, narzucić „luźnym" pracę na warunkach korzystnych dla pracodawców. Autorka, opierając się przede wszystkim na publicystyce okresu stanisławowskiego, wiąże to nastawienie z charakterystyczną dla epoki budzącego się kapitalizmu ideologią produktywizmu. „Marzy się ludziom epoki stanisławowskiej — pisze N. Assorodobraj — coś w rodzaju zorganizowanego społeczeństwa pracy, w którym wszyscy jego członkowie wchłonięci przez mechanizm życia gospodarczego odgrywają określoną funkcję" (str. 209). Stąd walka z „próżniactwem" w pierwszej mierze kierująca się przeciw ludziom „luźnym". Ówczesna publicystyka jest niewątpliwie wyrazem pewnej awangardowej ideologii gospodarczej, reprezentującej interesy powstającego kapitalistycznego przemysłu manufakturowego. Panujący ustrój feudalny, pańszczyzna i przytwierdzenie mas chłopskich do ziemi zamykały przed manufakturami największy rezerwuar siły roboczej, jakim była wieś. Rodzący się kapitalizm był jeszcze za słaby by rozbić przestarzałe formy ustrojowe i stworzyć wolny rynek pracy. Na tym stadium rozwojowym próbował on czerpać siłę roboczą, uciekając się do różnych form przymusu pozaekonomicznego. Wzrok przedsiębiorców manufakturowych kierował się więc na ludzi „luźnych". Stąd domaganie się od władz państwowych czy samorządowych tępienia swobody „luźnych" i przymusowego kierowania ich do manufaktur. Okropny wyzysk panujący w ówczesnych manufakturach był związany ze stosowaniem bardzo ścisłego nadzoru nad pracownikami, tak że w manufakturach ówczesnych panował regime niemal więzienny. Mimo to przedsiębiorcom było bardzo trudno stworzyć z „luźnych" element wdrożony do intensywnej i systematycznej pracy. „Luźni" zwykle prędzej czy później porzucali manufaktury i wracali do poprzedniego życia, dającego im na ogół lepsze warunki materialne i większą swobodę.

Wnikliwa rozprawa N. Assorodobraj rozwiązuje jedynie części problemów związanych z ludźmi „luźnymi". Autorka zastrzega się, że istnieje cały kompleks zagadnień związanych z rolą ludzi „luźnych" w gospodarce rolnej. Wydaje się, że ten problem jest najistotniejszy ze względu na par excellence rolniczą strukturę gospodarczą dawnej Polski, zwłaszcza jeżeli chodzi o czasy wcześniejsze od omawianych przez N. Assorodobraj. Że zagadnienie ludzi „luźnych" można cofnąć daleko wstecz do XV wieku, zwrócił uwagę St. Śreniowski w swej rozprawie p.t. „Zbiegostwo chłopów w dawnej Polsce jako zagadnienie ustroju społecznego", gdzie jeden z rozdziałów poświęcił ludziom „luźnym". Jakkolwiek autor oparł się na bardzo szczupłym i jednostronnym materiale źródłowym, jakim są pomniki ustawodawstwa, to jednak wykazał, że problem ludzi „luźnych" i ich zwalczanie jest aktualny jeszcze w pełni rozkwitu ustroju feudalnego. Rozpatrując zagadnienie „luźnych" od strony wsi, widzimy całą złożoność tego problemu. Przede wszystkim nasuwa się pytanie, kogo uważać należy za „luźnych" i o ile są oni jakąś trwałą grupą społeczną. O ile „luźni" na bruku miejskim posiadają dość ostre kontury oddzielające ich od innych klas mieszkańców, to o tyle na wsi „luźny" jest znacznie bliższy środowiska, z którego wyszedł. Bo przecież „luźni" to przede wszystkim zbiegli poddani, którzy nie od razu zmienili dawne więzy poddańcze na nowe, to chłopi pańszczyźniani, którzy szukają sezonowego zarobku poza swą wsią, to synowie czy córki gospodarzy nie znajdujący czy nie chcący znaleźć zatrudnienia w gospodarstwach swoich ojców, a wreszcie przede wszystkim liczne kategorie bezrolnych jak komornicy, czeladź dworska czy czeladź zamożniejszych chłopów i t. d. Wskutek tego linia podziału jest tutaj płynna, ten sam człowiek może w życiu parokrotnie stawać się „luźnym" — „hultajem" i wracać znowu do swego środowiska. Trudnym bardzo do stwierdzenia jest fakt, czy istnieje stała kategoria „luźnych", którzy z ojca na syna potrafią się w niej utrzymać. Szlachta, właściciele ziemscy zwalczają luźnych, chcą im zabronić swobodnego poruszania się i szukania korzystnych zarobków, chcą przykuć ich do swego folwarku na możliwie najgorszych warunkach — świadczą o tym ustawy cytowane w pracy Śreniowskiego. Zresztą i omawiana przez N. Assoradobraj działalność represyjna komisji cywilno - wojskowych wobec „luźnych" była niewątpliwie wyrazem interesów szlacheckiego folwarku. Szlachta zwalczając „luźnych" dążyła do uczynienia z „luźnych" pańszczyźnianych chłopów bądź taniego najemnika sezonowego, chciała usunąć ich „demoralizujący" wpływ na poddanych chłopów, pragnęła również dostarczyć siły roboczej dla gospodarstw chłopskich, by w ten sposób zwiększyć możliwości odrabiania pańszczyzny. Wszelkie jednak kroki represyjne przeciw „luźnym" nie dawały istotnych rezultatów i ta kategoria ludności utrzymywała się przez cały czas trwania dawnej Rzeczypospolitej. Tłumaczyć to można nie tylko słabością organów administracyjno - policyjnych w dawnej Rzeczypospolitej, ale przede wszystkim tym, że ludzie ci byli do pewnego stopnia **niezbędni** w ramach ówczesnego ustroju. Na ten fakt zwrócił ostatnio uwagę J. A. Gierowski w swoim cennym artykule p. t. „Ludzie luźni na Mazowszu w świetle uchwał sejmikowych" (Przegląd historyczny rocznik 40). Obok bowiem gospodarstw wyłącznie pańszczyźnianych istniały liczne gospodarstwa, w których siła najemna odgrywała dużą rolę, zwłaszcza jeżeli chodzi o pracowników sezonowych. Z drugiej strony mieszczanie zwłaszcza bogatsi potrzebowali również ludzi do prac dorywczych. Tym czynnikom zależało na łatwości dostania najemnika i dlatego de facto popierali swobodę „luźnych". Wspomniana wyżej rozprawa J. A. Gierowskiego najgłębiej z dotychczasowych prac wprowadza nas w zagadnienie znaczenia „luźnych" dla gospodarstwa rolnego w Polsce zwłaszcza w XVII i XVIII wieku, ale i tu charakter źródeł (uchwały sejmikowe) pozwala nam ustalić jedynie postulaty szlachty odnośnie do tej kwestii. Autor, opisując tendencje represyjne, uważa, że wzrastają one w drugiej połowie XVII wieku. W tym czasie i w pierwszych trzech dziesiątkach lat wieku XVIII wyrażają się one głównie w nakładaniu na „luźnych" specjalnych opłat ,proporcjonalnie znacznie wyższych niż świadczenia podatkowe innych kategorii ludności wiejskiej. W latach 1730 — 1768 obserwuje autor szczególne nasilenie uchwał mających na celu zniesienie swobody ruchu „luźnych", przez przytrzymywanie wszystkich chodzących po kraju bez świadectwa swych panów. Wreszcie w późniejszym okresie daje się, zdaniem autora, zauważyć kładzenie nacisku na uchwalenie maksymalnych taryf dla najemnika w rolnictwie i na przymusowe kierowanie wałęsających się „luźnych" do robót publicznych i przedsiębiorstw przemysłowych w mieście. Wiąże to autor z coraz silniej występującymi tendencjami kapitalistycznymi. Sam autor przyznaje, że pewna jednostronność źródeł, na jakich oparł swą pracę, uniemożliwia wyciąganie trwałych wniosków, że niezbędne są jeszcze badania oparte na szerszej podstawie źródłowej. Wydaje się, że badania takie powinny iść przede wszystkim w kierunku dokonania szczegółowego **przekroju społecznej struktury ówczesnej wsi,** która przecież nigdy nie była jednolita, ustalenie znaczenia **pracy najemnej** w gospodarce rolnej okresu rozradzającego się feudalizmu i zbadania, o ile znaczenie to wzrasta pod koniec XVIII wieku w związku z początkiem przechodzenia do form gospodarki kapitalistycznej i stwierdzenia, czy notowany przez N. Assorodobraj masowy napływ ludzi „luźnych" do miast, a zwłaszcza do Warszawy był zjawiskiem występującym już dawniej, czy też zaistniał dopiero w drugiej połowie XVIII wieku, oraz dokładnego zbadania w jakiej mierze przemysł manufakturowy opierał się na „luźnych" i czy i jaką rolę odegrała ta kategoria ludności w okresie tworzenia się nowoczesnego już przemysłu na ziemiach polskich w początkach XIX wieku (zagadnienie to postawił St. Arnold w recenzji pracy N. Assorodobraj w „Nowych Drogach" (Nr 3 z 1947 r.). Rozwiązanie dwóch pierwszych zagadnień być może pozwoliłoby dokonać przynajmniej przybliżonego szacunku ilościowego ludzi „luźnych".

Badania takie napotkać jednak mogą, niestety, w wielu wypadkach na brak odpowiednich materiałów źródłowych.

Jerzy Michalski

LESZEK GOLIŃSKI

SIERŻANT GRISZA OSKARŻA...

Na historycznym stosie majowym w roku 1933 płonęły obok dzieł Tomasza i Henryka Manna, obok essay'ów Stefana Zweiga i powieści Anny Seghers, także książki Arnolda Zweiga. Płonął sprawiedliwy sierżant Grisza Iljicz Paprotkin, który tyle zamętu posiał w umysłach poczciwych mieszczan berlińskich, a obok niego saper Bertin i Caliban. Płonęły wielkie nadzieje i mali ludzie z powieści wygnanego pisarza: co chwila obiecujący młodzieńcy w brązowych koszulach ze swastykami rzucali w rosnący płomień nowe egzemplarze, wyciągane z pobliskich bibliotek.

Arnold Zweig należał do pisarzy poczytnych. Pochodził on spośród Niemców, którzy wojnę lat 1914 — 1918, inflację marki i pogromy Żydów traktowali nie tylko z uśmiechem zadowolenia, ironii, albo wstydu. Nie, Arnold Zweig dopatrywał się w tych niepospolitych zjawiskach, które zwą się później historią, znacznie głębszych treści. Nie znaczy to, aby bawił się w proroctwa, a wywody swoje oblewał sosem szlachetnego patosu. Nie służyła mu rola Kassandry. Trochę pesymistyczny, jak wszyscy mu rówieśni, nade wszystko był realistą, nie pozbawionym sarkazmu i ironii. Pacyfizm lat powojennych lubił rzucać na „święte" sztandary cesarstwa błoto i wyżywać się w zjadliwej krytyce tego, co nie wróci. Retrospektywna analiza nie wystarczała jednak twórcy sierżanta Griszy: on pod krytyką rozumiał wyciąganie wniosków z tego, co było, aby zrozumieć to, co jest i domyśleć się tego, co będzie. Była to aktywna postawa wobec materiału, z którego budował swoje opowieści.

Ogarniał go usprawiedliwiony lęk. Przebijał się nieśmiało w obrazie świata, ukryty pod konturami wielkich wypadków: co najwyżej przeświecał stamtąd, jak łuna pod Verdun, jak światło z baraków jeńców rosyjskich. „Niełatwo jest iść przeciw prądowi siedemdziesięciu milionów — pisał w „Młodej kobiecie z 1914 roku". — Mniej odwagi potrzeba do tego, by iść do ataku na żywych ludzi, niż by samemu przeforsować swą wolę."

Wiec przemawiał do współczesnego mu pokolenia wspaniałym, jędrnym stylem, prozą, której nie powstydziłby się Tomasz Mann, kazał toczyć się powieściowym wypadkom. W powieściach Arnolda Zweiga, szczególnie w trylogii wojennej, kryje się synteza tych lat, bije tętno wydarzeń. Błyskają ogniami fronty nonsens wojny woła z każdej strony.

Potworność niemieckiej biurokratycznej machiny wojennej odkrywać będzie sierżant Grisza, jeniec wojenny nr 173 z powieści „Spór o sierżanta Griszę". Wierny, dobry sierżant Grisza, przyjacielski chłop, zginie rozstrzelany niepotrzebnie, umrze trzy razy, uśmiercany potwornością niemieckiej machiny wojennej, przeżartej biurokratyzmem. Arnold Zweig w swojej wielkiej szlachetnej powieści ukaże całą ohydę „porządku niemieckiego", dzieła junkrów, zdziecinniałego cesarza i sprytnych kupców w mundurach.

„Wśród wiejskich chłopców, żydowskich i litewskich, potem i białoruskich, którym przecie zawsze roją się po głowach gadki i baśnie, jest rzeczą pewną i stwierdzoną, że włóczy się duch, „żołnierz cara". Wyższy jest, niż najwyższy jałowiec, brodę ma związaną z tyłu, by na nią nie nastąpić. Ze strzelbą na ramieniu, z pustymi oczodołami maszeruje po nocach przez kraj w górę rzeki: :dlatego wyją psy. Może też, jeśli zechce, chodzić po samej rzece, bo czemże jest? Niklejszy od powietrza. Duch poległych żołnierzy, carski żołnierz, maszeruje z Polski, maszeruje z Litwy, maszeruje przez Białą Ruś, przez żydowskie wsie, maszeruje, maszeruje na wschód. Biada carowi, kiedy go żołnierz dosięże! Biała carowi, kiedy wynurzą się przed nim puste oczodoły, martwe i trupie, a bagnet, czerwony od krwi tysięcy Turków, Austriaków, Niemców wgryzie się w jego drżące trzewia..."

W tej bezsensownej a straszliwej wojnie, dudnią, cwałują przez powieści Arnolda Zweiga czterej jeźdźcy Apokalipsy, rabini z rozwianymi brodami ciskają okropne klątwy, fatum paraliżuje wysiłki ludzkie, życie staje się głupstwem i ironią. Lecz poprzez cały pozorny mistycyzm wojny przeziera zbrodnicze siły, spróchniały ład społeczny, wykrzywiają się szkaradne maski ludzi, którzy mienią się bogami wojny, a są pospolitymi zbrodniarzami. Arnold Zweig nie oskarża więc, tylko ośmiesza, zohydza, czyni wstrętnymi tych ludzi, ich schemat myślowy, ich cynizm, jakże bezduszny wobec rozpaczy w sercu prostego człowieka. Saper Bertin i jego młoda żona ukazani są tylko dla uwypuklenia idiotyzmu wojny: tę samą rolę pełni sierżant Grisza.

Są tam, w salonach panów generałów, w kwaterach głównych, ludzie działający, jak martwe maszyny, — uosobienia pruskiej pychy i zbrodniczości. Sprawiedliwość i wiara w Boga są dla nich kamieniem węgielnym Prus, ale sprawiedliwość pruska i pruska wiara w pruskiego Boga, tego, który króluje na miedzianych klamrach przy pasach. Cóż znaczy przy tej wspaniałej, akuratnej maszynie pruskiego militaryzmu życie jednego rosyjskiego jeńca? Nic. Mniej, niż kamień przydrożny. Mniej, niż urlop sapera Bertina.

Akcja „Sporu o sierżanta Griszę" toczy się już w tym roku wojny, kiedy żołnierze wołają do siebie przez linię frontu „towarzyszu", a w okopach we wszystkich językach świata liczą miesiące, dzielące ich od pokoju. Sierżant Grisza ma możność przekonać się osobiście o duchu, panującym w szeregach armii niemieckiej, która parta rozkazem i stanowiąca bezwolną masę, maszeruje na wschód, gdzie dzieją się wielkie rzeczy. „My nie Rosjanie — mówią do siebie szeptem landszturmiści. — Z nami mogą robić, co chcą..."

Tak twierdzą drobnomieszczanie, tęskniący do swoich osieroconych sklepików i warsztatów rzemieślniczych, do opuszczonych biurek w dalekiej ojczyźnie. Są bezradni i mimo wewnętrznych protestów idą posłusznie, aby przyczynić chwały generałowi Schieffenzahnowi, „bogowi" wojny.

Oprócz nich jednak istnieje w powieściach Zweiga proletariat. Przejawia się siła ideologii proletariackiej w cichych, nocnych rozmowach, w przypadkowych spotkaniach, żyje w olbrzymiej masie żołnierskiej, zawalającej wszystkie fronty, wszystkie etapy. Robotnicy w mundurach marzą. Wierzą w Liebknechta: nazwisko to działa, rozpromienia oczy, rozwścieklа panów oficerów. Przeżywając dobrotliwie kręgle imionami bohaterów narodowych, panowie oficerowie unikali jak ognia, nazwiska Liebknechta. „Nazwisko to leżało wogóle poza możliwością użycia go, jako przezwiska: nadawało się do więzienia. Nie wchodziło wogóle w rachubę" — pisze Zweig.

Kliem, jednoręki nauczyciel pływania mówi do bogatego Dawida Wahla: „Czekajcie tylko, panicze, kiedyś to się odmieni, i to w niedługim czasie. Na wojnie douczą się może ludzie, Liebknecht powie im już czego". Woźnica, który przywiózł zwłoki rozstrzelanego sierżanta Griszy na cmentarz, na wzorowy, niemiecki cmentarz, gdzie śpi snem wiecznym tylu jego rosyjskich i niemieckich towarzyszy, wypowiada tylko jedno zdanie, tylko na jedno go stać. „Ja nie chciałem wojny" — mówi, odwracając twarz.

„Wprawdzie idą wieści — komunikuje oficerom generał Schieffenzahn — że we flocie, w Wilhelmshafen wybuchły groźne i niebezpieczne rozruchy i że posłowie w Berlinie z wściekłością chcieliby przeszkodzić czwartej zimie wojny i głodu — ale za to, moi panowie, mnoży się ilość kwadratowych kilometrów, na których w przyszłości władać ma kasta niemieckich magnatów — aż do Finlandii już, ba, łącznie z Finlandią, moi panowie!"

Cóż z tego, że w tym samym czasie i dla tego samego celu w myśl niemiecko - generalskiego porządku ginie Grisza i tysiące jego kolegów i towarzyszy i współrodaków — kogo to obchodzi? Wojna przedłuża również egzystencję panów generałów, a agzystencja ta jest świetna: panowie fabrykanci także ją sobie chwalą — od czegóż zresztą ma się przyjaciół i krewnych w armii?

Widząc nadchodzący pucz hitlerowski i znając jego ideologię, w ostatnich latach przed monachijskim styczniem, Arnold Zweig staje się płomiennym trybunem demokracji. Widział w niej „wewnętrzny popęd, który zbliża narody, chęć wzajemnego poznania się, uzupełniania się, związania się," „Człowiek, żyjący pod dyktaturą jest skazany, aby nigdy nie wykazać swoich dobrych stron. „Pogwałcenie praw człowieka" jest dla Zweiga — liberała największą hańbą, czy chodzić będzie o jeńca nr 173, sierżanta carskiej armii Grisze, czy Żyda z Kowna, czy robotnika z Berlina.

Najgoręcej protestował Zweig przeciwko rasizmowi i nacjonalizmowi. Było mu danym przeżyć triumf tego rasizmu. Widział, jak już nie dziesiątki tysięcy, ale miliony Żydów uśmiercali pruscy feldfeble za pomocą przemyślnych sposobów. Tego już nie można było opisać piórem: tutaj nie jednostka padała ofiarą, ale całe narody.

Tę swoją bezpośrednią walkę rozpoczął jeszcze w roku 1932 podczas zebrania Związku Pisarzy Niemieckich. Było to zebranie ze wszech miar historyczne i brzemienne w skutki dla Arnolda Zweiga.

„Horda ma być naturalną formą życiową, wódz — bezkrytycznie przyjmowanym wybawieniem od strachu, od niemożności poradzenia sobie z życiem — z życiem dorosłych, w którym mają decydować rozum, namysł i argumenty. Stąd detronizacja rozsądku, proklamacja władania elity, wyższej dzięki urodzeniu, dzięki mistycznej sile krwi, rasy. Łaknienie mocy wynaturza się, histeria krzykactwa, połajanek i pałkarstwa zastępuje... dojrzały sposób prowadzenia rozgrywek, nawet w parlamentach. Kultura religijna obniża się z powrotem do stopnia fetyszyzmu, do kultu wodza".

Kto wygłaszał takie zdanie w rok przed dojściem Hitlera do władzy, musiał się skazać na „normalny" bieg życia w okresie reżimu hitlerowskiego. Arnold Zweig podążył śladami obu wielkich Mannów: w roku 1933 widzimy go we Francji, gdzie należy do emigracyjnego Związku Pisarzy Niemieckich. Stąd udaje się Arnold Zweig do Palestyny, gdzie zatrzymuje się na stałe. Pisze tu dokończenie trylogii wojennej „Wychowanie pod Verdun", a potem „Intronizację króla", wreszcie „Przebrzmiałe dni". W roku wybuchu nowej wojny powstajej tom essay'ów p. t. „Alpy czyli Europa od epoki lodowcowej do upadku hitlero - faszyzmu". Rodzą się tu już w czasie wojny dramaty: „Bonaparte w Haiffie" i „Wypędzenie w r. 1744", wreszcie powieść „Siekiera z Wandsbeck".

W roku 1948 przybył Arnold Zweig na dłuższe odwiedziny do Niemiec. W Pradze Czeskiej zaskoczyła go choroba, która nie pozwoliła wielkiemu pisarzowi przybyć na Kogres Intelektualistów w obronie pokoju do Wrocławia. Przesłał więc Zweig jedynie adres, solidaryzujący się z uchwałami Kongresu Wrocławskiego. „Serce pisarza jest zawsze tam — czytano na Kongresie Wrocławskim słowa Zweiga — gdzie inni pisarze działają dla przyspieszenia tego co łączy, i przezwyciężenia tego, co dzieli. Duch, o którym faszyzm sądził, że zdołał go wytępić, głęboko odetchnął, gdy jego wróg padł. Pokażmy, że jesteśmy godni reprezentować go na nowo w połowie wieku XX i że nie otrzymaliśmy na próżno w darze naszych talentów i sił".

Walkę w obronie pokoju kontynuował pisarz konsekwentnie w Berlinie w szeregu odczytów , ponownie odwiedził Czechosłowację.

Witając Arnolda Zweiga z delegacją pisarzy niemieckich w Warszwie jesienią roku 1949 na akademii poświęconej rocznicy urodzin Goethego, witaliśmy jednego z czołowych niemieckich pisarzy postępu i pokoju, jednego z godnych spadkobierców wielkiej tradycji Goethego.

Leszek Goliński

Alina Witkowska

„Pieśń o rynku i zaułkach"

Długoletni brak pełnego kontaktu kulturalnego z Czechami spowodował, że nazwisko Jana Nerudy jest mało znane polskiemu czytelnikowi. W rozwoju zaś czeskiej literatury i kultury narodowej ma ono znaczenie niemal przełomowe.

Jan Neruda przebywał w Pradze w latach 1834—1891. Dzieciństwo zatem Nerudy przypadło na gorący, ożywiony ideami rewolucji i wolności etap życia narodowego Czechów. Lata poprzedzające Wiosnę Ludów są dla Czech okresem usilnej pracy nad uprzemysłowieniem kraju, dla zrealizowania przebudowy gospodarczej. Koniecznym stało się stworzenie własnego, burżuazyjnego państwa, instytucji politycznej gwarantującej na tym etapie pomyślny rozwój produkcji kapitalistycznej. Idee przewrotu burżuazyjno - demokratycznego, zahamowane w swym rozwoju przez reakcję polityczną po roku 1948, znalazły w Nerudzie utalentowanego propagatora. Młodoczeska liberalna partia podejmie, aczkolwiek w zwężonym zakresie, hasła postępowej burżuazji swego kraju sprzed Wiosny Ludów, jej gorliwym zwolennikiem stanie się Neruda.

Poeta i prozaik Jan Neruda debiutuje zbiorem wierszy pt. „Kwiaty cmentarne" (1857); z innych utworów poetyckich najpopularniejsze są: „Księga wierszy" (1867) i „Pieśni Kosmiczne" (1878). Jako prozaik opublikował utwory pt. „Różni ludzie", „Trhani" (tj. robotnicy zatrudnieni przy budowie kolei) a nade wszystko cykl niezrównanych obrazków praskich pt. „Opowiadania z Małej Strany" (polski tytuł w wydaniu P. I. W. brzmi „Opowiadania ze starej Pragi") *) „Opowiadania ze Starej Pragi" to zbiór 13 obrazków zamknięty w ramy dwu obszernych panoram z życia praskiej kamienicy pt. „Tydzień w cichym domu" i „Figurki". W pozostałych obrazkach, raczej migawkowych, ukazuje autor drobne wycinki z życia mieszczan, skupia się bardziej na jakimś wydarzeniu czy postaci, niż problemie. „Pan Ryszanek i pan Schlegi", „Doktór Patałach", „Wodnik", „Jak pan Worel przepalił sobie fajkę" są tego typu opowiadań najlepszymi przykładami. Więzią, łączącą wszystkie obrazki praskie, jest wspólny bohater — dobroduszny mieszczanin czeski lat 60—70-tych. Bez względu bowiem na różnicowanie uczuciowe autora (mieszczaństwo zgermanizowane i rdzenne czeskiej) obracamy się ciągle w kręgu przedstawicieli tej samej klasy, z jej charakterystycznym rozwarstwieniem na zamożne (właściciele domów), drobne mieszczaństwo i grawitujące ku niemu elementy lumpenproletariatu. Tych ostatnich w książce jest zresztą najmniej.

Autor maluje z plastyką i siłą artystyczną postaci swego świata. Pod jego piórem drobne, niedostrzegalne „figurki" pań gospodarskich, starej Baworowej, szynkarek, panien na wydaniu i starych kawalerów nabierają barwy, życia, uśmiechu. Neruda z przywiązaniem i ogromnym sentymentem maluje swoich mieszczan. Dlatego w książce nie ma ludzi złych, są tylko mniej lub więcej sympatyczni, śmieszni i głupi, należy im wiele wybaczyć, tak jak to czyni autor. Wyciągnięte z lamusa postaci panów Ryszanka, Schlegla czy pana gospodarza (z „Figurek") wzruszają i bawią. Prawem analogii nasuwa się porównanie z długoletnim piewcą starej Warszawy Or-Otem; u Nerudy nie znajdziemy jednak ani cienia tragizmu zagubionych w obcym świecie nowej rzeczywistości bohaterów Or-Ota.

W odtwarzaniu tych pozytywnych bohaterów towarzyszy Nerudzie humor iście dickensowski, śmiech subtelny, serdeczny, zaraźliwy, pozbawiony smutku czy refleksji. Śmiało można powiedzieć, że humor, miłość miasta, ludzi to najlepsza strona tej czeskiej „Pieśni o rynku i zaułkach".

Pytanie jednak, czy autor dostrzega coś więcej poza śmiesznym niekiedy, ale w gruncie rzeczy poczciwym światem, czy opowiadania jego wybiegają poza z wdziękiem napisaną apoteozę klasy? Stwierdzić trzeba, że pisarz mimo wielkiego sentymentu dla opisywanego świata zdobywa się jednak na akcenty krytyki. Fakt, że kochając widział zło, jest szczególnie cenny. Nie dziwmy się, gdy Neruda z pasją i dużej klasy ironią ośmiesza biurokratyzm, głupotę, małostkowość warstwy urzędniczej. Instytucje miejskie i państwowe były w tym czasie w Czechach ośrodkami germanizacyjnymi. Urzędnik — najczęściej Niemiec zaopatrzony w złudę awansu, przyciskany długami, biedą i obawą utraty pracy stawał się bezdusznym odtwórcą mniej lub więcej sensownych zarządzeń przełożonych. Neruda, nie popadając w kolizję z uczuciem, mógł ośmieszać zniemczone urzędy i ich pracowników, gdyż na tym odcinku sprawa nabierała aspektów narodowych. Trudniej natomiast ocenić błędy klasy, do której się należy.

Demaskatorska w stosunku do mieszczaństwa rola wielkiego realisty Balzaka polegała w dużej mierze na zdarciu z instytucji kapitalistycznego małżeństwa ckliwej zasłony miłości, wierności i cnoty. Balzak pokazał istotne fundamenty mieszczańskiego małżeństwa — zysk i pieniężną kalkulację. W czeskiej rzeczywistości lat 60—70-tych problem ten był nadal aktualny. W podstawy więc moralności mieszczańskiej, w małżeństwo i rodzinę uderza krytyka Nerudy. Panna na wydaniu — pasożytniczy element rodziny — to jeden z nierozwiązalnych w klasowej skali problemów mieszczaństwa. Stąd naprawdę żałosny widok podstarzałych panien Nerudy, zmuszonych raz po raz pruć monogramy wypraw, panien, których jedynym dążeniem życiowym jest wyjście za mąż. Niestety, w świecie Amora istnieje równie silna konkurencja, jak w sferze interesów: im mniej zadłużeni rodzice, tym większe szanse zamążpójścia. Z tak skojarzonych małżeństw wyrastał osobliwy twór — mieszczańska rodzina — z horyzontami nie wybiegającymi poza sklepik, biuro, knedle z sosem chrzanowym, plotkę i kieliszek wina u pani gospodzkiej.

Neruda dostrzega więcej: widzi walkę człowieka o prawo do życia, trudności zdobycia egzystencji w klasowo zamkniętym dla intruza świecie mieszczańskim. Trafnym artystycznie wyrazem tej głębokiej prawdy społecznej jest tragiczne opowiadanie o panu Worelu, który przepalił sobie fajkę.. Neruda widzi zło, ale nie wyciąga wniosków potępiających klasę. Zgodnie, bowiem z programem partii liberalnej — mieszczaństwo miało być tą siłą, która rozegra bitwę o narodową, czeską kulturę. Dlatego Wacław z doktorem Loukotom („Tydzień w cichym domu") z niespotykaną w książce powagą będą omawiać zadania literatury w Czechach, a bohater opowiadania „Figurki" z pietyzmem będzie dbał o czystość rodzinnego języka. W nich widzi autor przede wszystkim mieszczańskich, pozytywnych bohaterów.

Optymizm pisarza, jego wiara w twórczą siłę własnej klasy, jeszcze nieskompromitowanej historycznie, walka o narodowy charakter kultury, stawiają Nerudę w szeregu najbardziej postępowych pisarzy czeskiego mieszczaństwa. Dążność Nerudy, zmierzająca do ścisłego powiązania literatury z życiem, stanowi o jego trwałym wkładzie w rozwój realistycznej powieści czeskiej. Dla czytelnika polskiego „Opowiadania ze Starej Pragi" mają ponadto wielkie wartości poznawcze, chociaż przekazują obraz tego świata, który już bezpowrotnie zabrała historia.

Alina Witkowska

*) Jan Neruda „Opowiadanie ze Starej Pragi", PIW, 1949, s. 310, tłumaczyła Maria Erhardtowa.

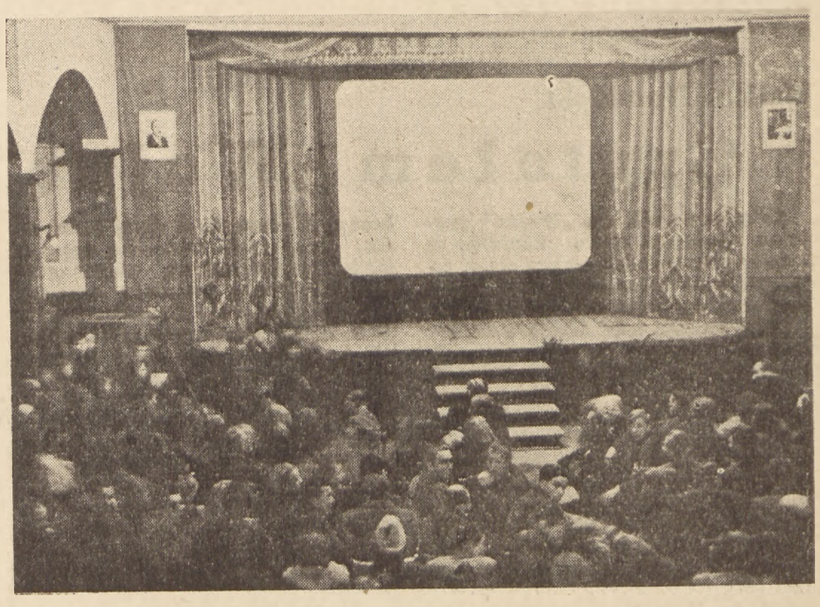

Nowootwarta sala kinowa we wsi Bojadła, pow. Zielona Góra.

Leszek Goliński

PIONIERZY DZIESIĄTEJ MUZY

Plan 6-letni przewiduje uruchomienie co najmniej jednego dźwiękowego kina stałego w każdej gminie wiejskiej. Do końca planu sześcioletniego powstanie gęsta sieć kin wiejskich: w większych gminach powstaną nawet po dwa kina: na 3052 gmin wiejskich przewiduje się otwarcie 3500 kin. Ponadto plan sześcioletni projektuje uruchomienie jeszcze około 2000 kin w t.zw. sieci społecznej, to znaczy w świetlicach fabrycznych, przy większych zakładach pracy. 2200 z tych kin jeszcze w tym roku zostanie oddanych do użytku.

W rozwoju kinematografii polskiej przejście z kina objazdowego do stałego (o czym pisała niedawno „Wieś") jest nie małą rewolucją. Dotychczasowa forma obsługi wsi kinami ruchomymi jest formą kosztowną i niewygodną w masowej eksploatacji. Ponadto kino ruchome staje się zawsze jedynie atrakcją, dorywczą i przypadkową, działa raczej, jako nowość, o której się na wsi długo pamięta i mówi, ale nie spełnia w pełni swych społecznych zadań wychowawczych. Dopiero gęsta sieć stałych kin wiejskich pozwoli na planowe podnoszenie kultury wsi polskiej, na wychowanie nowego pokolenia chłopów polskich, świadomych budowniczych socjalizmu.

Województwa zachodnie, jako bardziej zelektryfikowane, otrzymały już i otrzymują od 1 kwietnia br. stosunkowo dużą ilość stałych kin wiejskich. Na podstawie obserwacji, jakie można było zebrać w okresie dwu ostatnich miesięcy, można już mówić o pewnym zasobie doświadczeń, niesłychanie istotnych, jeśli idzie o tą niespotykaną i nieznaną dotąd w Polsce instytucję, jaką są stałe wiejskie kina.

Weźmy przykładowo jedno kino wiejskie stałe na Dolnym Śląsku, istniejące już od 1 kwietnia br. Mam na myśli Kostomłoty w powiecie Środa Śląska.

Kostomłoty są typową dla Dolnego Śląska wsią, która w Małopolsce lub też w Polsce centralnej zyskałaby sobie nazwę miasteczka. Wieś ta posiada obszerny rynek, murowane, nawet jednopiętrowe domy, kilka sklepów spółdzielczych ZSCh, piękny dom Komitetu Gminnego PZPR, okazały budynek Rady Gminnej. Skupia się tutaj życie południowo-zachodnich rejonów powiatu Środa Śląska. Kostomłoty są niejako drugim centrem tego powiatu, wziąwszy pod uwagę, że sama Środa Śląska liczy zaledwie 3 tysiące mieszkańców.

W Kostomłotach mieszka około 550 osób. Są to po większej części rodziny repatriackie z za Bugu.

Niewątpliwie na decyzję uruchomienia kina w Kostomłotach wpłynął przede wszystkim fakt, że Kostomłoty są zelektryfikowane i że posiadały odpowiednią salę świetlicową, ale głównie zadecydowała tu na pewno postawa ludności samej wsi.

Jan Siekierski, kierownik kina w Kostomłotach, razem z Franciszkiem Błędkiem operatorem są synami małorolnych chłopów, obaj są robotnikami rolnymi i aktywnymi ZMP-owcami. Z własnej woli, z „ciekawości świata", gdy tylko dowiedzieli się o organizowanych we Wrocławiu kursach dla kierowników i operatorów kinowych, zgłosili się i po miesiącu wrócili do swojej wsi z dyplomami w rękach.

Pierwszą niespodziankę przeżył Siekierski w dzień otwarcia kina. Ludzi przyszło nad podziw dużo. W sali jest tylko 100 miejsc siedzących, tymczasem przybyło na seans aż 202 osoby. Byli to przeważnie mieszkańcy samych Kostomłotów, przeważnie młodzież i dzieci. Na sali zrobiło się duszno, okien nie można było otwierać, a Błędkowi kilka razy groziło, że zawali się razem ze swoim stołem i aparatem.

W sobotę wyświetlono jeden, w niedzielę dwa seanse. Na wszystkich frekwencja ogromna. Na drugi tydzień program już został zmieniony ku szczeremu żalowi wielu widzów.

Jeśli z 550 mieszkańców Kostomłotów 200 obecnych jest na jednym seansie, to łatwo zrozumieć, że trzy seanse zdolne są obsłużyć całą ludność wsi z nadwyżką. Cóż się więc stało, że na sali był wieczny tłok, a setki ludzi musiały wędrować spod kasy do domu?

O odpowiedź łatwo.

Po prostu mieszkańcy Kostomłotów nie poprzestali na jednorazowym obejrzeniu filmu.

Stosunkowo niskie ceny biletów (20 — 40 zł) i ciekawe filmy zachęcały do powtórnego obejrzenia filmu. W rezultacie prawie cała widownia uczestniczyła w niedzielę na dwu seansach, a często zjawiali się na sali ci sami ludzie, którzy widzieli już ten film w sobotę. Nie pomogły perswazje. Dzisiaj już na długi czas przed wyświetleniem filmu tworzą się przed kasą kinową, w której rezyduje kierownik Siekierski, długie ogonki.

Nie tylko to jednak wpłynęło na przepełnienie. Niezależnie od tego, czy padał deszcz, czy świeciło słońce, czy nogi tonęły w błocie, zaczęli do kina w Kostomłotach ciągnąć gęsiego ludzie z odległych bardzo wsi. Nierzadko przyjeżdżali tu furmankami po 12 — 14 kilometrów. Jak kiedyś kino objazdowe szukało drogi na wieś, tak obecnie sama wieś przybyła do swego kina.

Kino staje się powoli na wsi potrzebne, jak chleb powszedni. W ciągu dwu miesięcy mieszkańcy Kostomłotów i przyległych wsi tak bardzo przywykli do swego kina, że teraz, gdy przyjedzie się do nich w odwiedziny z ożywieniem rozprawiają na temat tego czy innego filmu. Treść „Czarciego żlebu" znają już na pamięć, byli na nim po trzy razy.

Jakie z kostomłockiego przykładu nasuwają się wnioski?

Są one dwojakiego rodzaju: technicznego i repertuarowego.

Kino wiejskie ze względu na zajęcie całej ludności wiejskiej w czasie letnim nie może być czynne przez cały tydzień, zresztą najprawdopodobniej zabrakłoby mu widzów. Wydaje się jednak, że w miesiącach zimowych i jesiennych możnaby uruchomić kina w bardziej ludnych wsiach także i w niektóre dni powszednie.

Dzieci szkolne powinny być sprowadzane na seanse zamknięte, grupowo. Umożliwiłoby to kinu większą operatywność, a przy tym możnaby uniknąć zbędnego natłoku i wyjaśniać należycie dzieciom oglądane filmy.

Od czasu do czasu możnaby też z udziałem prelegenta z większych ośrodków przeprowadzać ciekawe dyskusje na temat dopiero co oglądanych filmów.

Filmami wiejskimi, ich wyposażeniem technicznym, winny zająć się w sposób żywszy, niż dotychczas, ekipy łączności z miasta. Robotnicy miejscy udoskonalając kino wiejskie, a następnie uczestnicząc wspólnie z chłopami na seansach filmowych, zbliżyliby się jeszcze mocniej do wsi, jeszcze bardziej zacieśniliby sojusz robotniczo-chłopski, zważywszy entuzjazm, jakim wieś darzy swoje pierwsze kina stałe.

Dosyć istotnym problemem jest także sprawa repertuarowa.

Polskie filmy oświatowe mają oddawna wyrobioną na świecie markę. Wytwórnia Filmów Oświatowych w Łodzi wyprodukowała dotąd 42 filmy oryginalne i opracowała 151 filmów zagranicznych. Zbyt mało jednak opracowano dotychczas filmów oświatowych, należałoby również w większym niż dotąd stopniu organizować zamknięte seanse dla szkół czy też pracowników PGR-ów lub aktywu spółdzielni produkcyjnych filmy o pracy robotnika i górnika, lub też tego rodzaju krótkometrażówki dodawać do filmów długometrażowych fabularnych. Najtrudniejsze akcje propagandowe i uświadamiające staną się akcjami bardzo łatwymi do przeprowadzenia, jeśli z pomocą agitatorom pośpieszy potężna broń, jaką jest film. Ma to szczególne znaczenie w procesie uspółdzielczenia wsi i stawia przed Filmem Polskim nowe, palące problemy produkowania jak największej ilości filmów specjalnych na użytek wsi. Zaznaczyć warto, że widz wiejski jest znacznie bardziej wdzięczny od miejskiego i że należy wykorzystać ogromną siłę atrakcyjną kina wiejskiego jeszcze tak długo, jak długo jest ono nowością.

L. G.

Recenzje z teren"

Marian Nowiński

Czytałem „Wojnę" Gałaja

Książkę Gałaja pt. „Wojna" czytałem bez wytchnienia. Czytając tę książkę przeżywałem po raz drugi to, co było i co widziałem w pogodne i słoneczne dni września 1939 r.

Gałaj opisuje wieś Mystkowice, leżącą w Łowickim, na tle wojny polsko-niemieckiej. Należy podkreślić, że autor „Wojny" z drobiazgami przedstawił nadzieje i zawód wsi polskiej, jej rozczarowanie, jakie spotkało ją we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku. Nie waając się w szczegóły należy tutaj podkreślić, iż autor trafnie określił oczekiwanie narodu polskiego na pomoc ze strony Francji i Anglii, która rzekomo była „zagwarantowana". Już po 1—2 tygodniach każdy, nawet analfabeta polityczny widział, że tu coś nie w porządku.

A dalej sprawa 6-cio miesięcznej wojny. Była to zwykła oszukańcza propaganda. Czytając tę książkę człowiek umacnia się w przekonaniu po raz wtóry, iż polityka sanacyjnego rządu to nic innego jak oszustwo.

Na tle tragedii wrześniowej dobrze jest przedstawiona rodzina Łękisów z Mystkowic. Kiedy wejrzę wstecz na przedwojenne czasy i wieś polską, to przecież takich Łękisów możemy znaleźć w każdej gromadzie. Czyż mało widzieliśmy takich Bolków Łękisów — rozbitków społecznych? Oczywiście, że było ich pełno, tumanionych przez różne frakcje burżuazyjne. Gałaj dużo miejsca poświęca zdradzie narodowej ze strony obszarnictwa i kapitalistów związanych z zagranicą, a tym samym zdradzie rządu, który był ich marionetką. Od podzimych i przysłanych zdrajców roiło się w rządzie, w wojsku i na każdym kroku. Panowie, cywile i wojskowi od żłobu rzucają lud na łup najeźdźcy, a sami z wypchanymi walizkami uciekają zagranicę, gdzie mają swoje konta bankowe.

Nie chodzi mi jednak o dobre strony książki, które wyliczyłem, a których w książce Gałaja jest dużo więcej. Chcę również zwrócić uwagę na te momenty w „Wojnie", które są naświetlone fałszywie, bądź nie jasno. Jednym z takich momentów, który nie został właściwie naświetlony to sprawa Niemiec. Problem niemiecki w „Wojnie" jest zagmatwany. Aby nie być gołosłownym przytoczę w tej sprawie kilka cytatów. Np. „Co za cholerny naród ci Niemcy. Zawsze oni i oni... Zawsze posieją burze, a zbierają wiatr..." Czy ta wypowiedź autora jest słuszna? Oczywiście, że nie. Nie można i nie wolno nam niggdy przecież utożsamiać narodu niemieckiego z tymi, którzy wywołali wojnę — to jest z imperializmem, który bodaj najostrzejszych form nabrał w Niemczech. A dalej autor pisze: „Wściekłość teutońska ujęta w karby organizacyjne, wspomagana wiedzą i sztuką teutońską ,oraz kapitałem anglo-amerykańskim prowadziła dzieło zniszczenia systematycznie i planowo". I tu znów to samo. Autor słusznie wskazuje związek kapitału anglo-amerykańskiego z niemieckim, ale czy jest jakaś specjalna wściekłość teutońska, czy teutońska wiedza i nauka? Wydaje mi się, że nie. Jest natomiast wściekłość i nienawiść kapitalistyczno-imperialistyczna. Chcę się zapytać tutaj autora, czy widzi różnicę między wściekłością faszystowską 1939 r. podczas wojny polsko-niemieckiej a wściekłością francuskich kapitalistów w Vietnamie? Czyż inna jest wściekłość Holenderskich oddziałów ekspedycyjnych w Indonezji, Anglosaskich na Malajach itp. A więc podkreślam to jeszcze raz, iż nie ma innej nienawiści oprócz imperialistycznej. Dalej również niewłaściwe określenie, w którym czytamy: „Możliwe, że wśród Niemców trafi się czasem człowiek, a nie bydlę". Takich przypadkowych określeń nie wolno nam używać. Przypadkowości w życiu nie ma. Każda sprawa ma swoje źródło i uzasadnienie. Bez przyczyny nie ma przypadku. Przecież wśród żołnierzy niemieckich byli też ludzie i to nie pojedyncze wypadki, których gnano pod groźbą śmierci i co do tego nie można mieć wcale wątpliwości, bo przecież zanim Polacy dostali się do obozów hitlerowskich, były one doskonale wypróbowane na komunistach niemieckich. Częściowo autor widzi to, bo pisze: ...„Zwyciężyła widocznie wola starego Niemca, gdyż dwaj młodzi uspokoili się i przestali sprzeczać. Ku swemu zadowoleniu Wacek został wypuszczony". Dotyczy to Wacka, którego młody Niemiec chciał rozstrzelać, a stary był wstrzemięźliwszym w rozlewaniu krwi. Jasno tu uwidacznia się wychowanie młodego pokolenia w duchu nienawiści, w duchu hitlerowskiego rasizmu, co starych tak głęboko nie przeniknęło. Jeszcze dalej Gałaj powraca do tej sprawy: „Osiemnastoletni Niemiec, brutalnymi ruchami zaczął dzielić zbitą gromadę ludzi: chłopi tu, kobiety i dzieci tu... Wtedy młody Niemiec puścił serię strzałów z automatu" (tzn. w mężczyzn). Widać tu mimo wszystko większe upodlenie ze strony młodego pokolenia niemieckiego wychowanego w duchu faszystowskim i nienawiści do innych narodów. Lecz błędem autora jest to, iż nie wskazuje z czego wypływa ta brutalność u młodych Niemców, czego nie można było powiedzieć o starych w całej rozciągłości.

A więc jak widać z powyższych wypowiedzi autora w książce „Wojna" brak jest internacjonalistycznego podłoża. Brak klasowego podejścia obniża wartość tej książki.

Wyliczyłem powyżej tylko kilka, może wg mnie, najjaskrawiej rzucających się w oczy braków, można by ich na pewno przytoczyć więcej. Na zakończenie pragnę jeszcze raz powrócić do przedstawienia stron dodatnich, które znajdują podobne odbicie w obecnym okresie. Gałaj pokazuje, w jaki sposób kapitał anglo-amerykański pomógł po I wojnie światowej odrestaurować się kapitałowi niemieckiemu i tym samym stworzyć dogodne warunki dla powstania hydry faszystowskiej dyszącej nienawiścią do wszystkiego, co ją otaczało. Jeżeli bliżej przyjrzymy się dzisiejszej sytuacji, to zobaczymy, że jest ona podobna. Państwa kapitału dążą do odnowienia Kruppów itp. Ale dzisiaj jest w Niemczech zupełnie inna sytuacja, bo zresztą inna sytuacja jest na całym świecie. Ta sytuacja krzyżuje plany imperialistów amerykańskich. Usiłowania ich topnieją jak śnieg pod promieniami obozu pokoju ze zwycięskim krajem socjalizmu na czele. Na nic się zdają różne kombinacje w postaci planów Szumanów i im podobnych. Obóz kapitału toczą wewnętrzne walki, bo sprzeczności z każdym dniem się pogłębiają.

Jeszcze jeden moment, który zasługuje na podkreślenie, to uwypuklenie przez autora roli proletariatu w walce z kapitałem. Jednym z największych wrogów, przed którym kapitał drży to proletariat miejski i wiejski. Dlatego też cały aparat nazistów swym ostrzem skierowany jest przeciw proletariatowi. Weźmy np. taki fakt, jak specjalne znaczenie na mapie niemieckiego sztabowca kilku chałup wyrobniczych między wsią Strugiennica i Zdunami. Bolek Łękis, który widzi to w rękach niemieckiego oficera, nie może sobie tego faktu wytłumaczyć. Po pierwsze: skąd faszyści wzięli takie dokładne plany naszych terenów, po drugie: dlaczego domy wyrobnicze były specjalnie na mapie oznaczone? Odpowiedź Bolkowi Łękisowi dały liczne procesy dwójkarzy przedwojennych na czele z Doboszyńskim, dla którego, jak dla każdego obszarnika i fabrykanta ojczyzna jest tam, gdzie pieniądz gładko przychodzi i można żyć beztrosko, do czego burżuazja mocno przywykła.

Takie są moje uwagi odnośnie książki J. Gałaja pt. „Wojna".

MARIAN NOWIŃSKI

Józef Pogan

Kwiatki ze skowrończej łąki

To cośmy słyszeli na przedwyjazdowej w teren konferencji pisarzy w Warszawie z ust ministra Jakuba Bermana i innych wypowiedzi, znajduje częstokroć potwierdzenie w praktyce na kanwie tworzenia niektórych pisarzy. Bo jeśli pisarz nie wejdzie w pracujące masy, jeśli do swego tworzywa nie będzie czerpał z ich pulsującego życia i pracy, z otaczającej nas rzeczywistości — zostanie przez życie wyprzedzony i wiokąc się w osamotnieniu — zawinie swą twórczością w próżni społecznej. A gorzej jeszcze, gdy odizolowany od życia autor posiada w sobie choć odrobinę przedwojennej naleciałości; wtedy nie trudno popaść w rozterkę duchową, w patologiczną desperację i stać się ofiarą mistycznej, święto-augustyńskiej teorii o życiu.

Częściowym przykładem tego niech będzie wydany w końcu 1948 r. tomik wierszy Jana Baranowicza pt. „Łąka skowronków"). Jan Baranowicz znany z często dobrych, choć pono „neutralnych ,apolitycznych" wierszy — poddaje się czasem wewnętrznej desperacji i głos swej liry rozrzewnia dźwiękiem pesymizmu i rozpaczy. Oczywiście, w niektórych wierszach „Łąki skowronków" słychać nutę opamiętania, przezwyciężania w sobie oporów i jest nadzieja, iż przez częsty kontakt z życiem pracujących mas całkowicie zrozumie wymowę nowych przemian społecznych i uwolni się z okresowej więzi.*

Rzućmy się wpław poprzez „Łąkę skowronków" i zanalizujmy jej wartość społeczną, a częściowo i artystyczną. Oprócz paru rzeczowych, mocnych i udolnych wierszy, w których autor nawiązuje do życia i pracy człowieka — większość tomiku zafrapuje nas mocno nie tylko mistyczną treścią, ale i psalmowo-loretańską rytmiką.

Już przy czytaniu wstępnej „Inwokacji" można wyczuć, co dalej tomik zawiera. Bo oto zaraz w następnym z kolei wierszu tp. „Wrzesień tragiczny" czytamy: — „...Wolność wsiąkała w przestrzeń, aż jak światło zgasła"... „Nad ojczyzną, co kwitła barwą krwi i wrzosu, Bóg jak cień obojętny toczył krąg kosmosu"...

A więc w pogromie Polski przez hitleryzm autor nie widzi przyczyny istotnej: kapitalistyczno - imperialistycznej zachłanności, a tylko dopust boży. Widział natomiast oficjalno-terytorialną „wolność" sanacyjną, nie dostrzegając wcale niewoli przynajmniej trzech czwartych polskiej ludności.

Źródło twórczości Baranowicza, płynące z wczorajszego idealizmu, przemienia się, jak później zobaczymy — w teraźniejszą desperację.

Pobłażliwy uśmiech i politowanie budzi wiersz pt. „Modlitwa do tajnej radiostacji". Wystylizowany na wzór litanii loretańskiej: — „Naczynie złote! Tęczo przymierza! Dzwonnico wierna! Krzyku męczonych!" — W modlitewnej formie i rytmice nie posiada tej siły dynamicznej i tego znaczenia społeczno-politycznego, jaką winien mieć wiersz o tajnej radiostacji odgrywającej w czasie okupacji doniosłą rolę.

Również podobnie usnuł Baranowicz dytyramb ziemniakom. W wierszu pt. „Pochwała ziemniaków" woła: — „O bulwy złote! Podglebia brzoskwinie! Sypkie! Soczyste! Parujące z garna! Roztarte w chlebie! Pieczone w łupinie! W mąkę na placek zmielone przez żarna!". Znamy wiersze o ziemniakach Tadeusza Sokoła, Bronisława Majtczaka i innych, ale mówią przecież co innego — mówią również o rozpychaniu brzuchów chłopsko-robotniczych dzieci, o krzywiźnie itp. Baranowicz chyba nie widział nigdy dzieci z „brzuchami rozdętymi jak balon" i wznosi pienia pod niebiosa o obfitości i słodyczach ziemniaka ,gdy właśnie ta „słodycz" stała się powszechnym, przysłowiowym „nadzianiem brzucha". Pokazanie samych dobrodziejstw ziemniaczanych w nowoczesnej twórczości jest jednostronne i nie ma wcale społecznego pokrycia. Raczej byłoby na miejscu poprzez ziemniaki wykazać nędzę większości chłopów, którzy nie mogąc hodować świń — te „Soczyste i pieczone w łupinie" jałowe ziemniaki same często jadali.

W wierszu pt. „Podjesionka" Baranowicz mówi (o sobie): — „Wpuściłem Cygankę do sieni, niechże powróży, skąd mi smutno"? „Czy smutek z niebokręgu spłynął? Czy z serca wymatowiał przeczuć?" — A przecież bez cygańskiej wróżby można odgadnąć skąd Baranowiczowi smutno: — z tej utraty wiary w człowieka, o czym na wstępie wspomniałem.

Wprawdzie w niektórych wierszach jak np. „Psalm" Baranowicz trafnie i udolnie przedstawia bieg historii: — „Dziwuj się Panie z ikon siwych, co tysiąclecia z nami mieszkasz, jak się nawarstwia sprawiedliwość, na szosach bezprawia i ścieżkach", lub: — „Otrząś się z pasji, klątw i błagań, wieczyście nagi, smutny zawdy, Nabierz w pierś słońca i pomagaj, przy sianokosach Twojej Prawdy". Ale już w następnym wierszu pt. „Scherzo" czy w „Szeleście wspomnień" popada w desperację i woła: — „Jakżeż przyjemniej będzie — gdy nad sobą poczuję ziemię", lub: — „Kiedy samotnie jak w pejzaż pień drzewa, obraz twój wzrastał w smutek moich oczu".

Tą desperacką nutę kończy Baranowicz w przeszło połowie tomiku „Łąki skowronków" ,w wierszu o tym samym tytule: — „Kwiląc skowrończe krążą grudki w błękitu synagodze, gdy wąską miedzą wraz z mym smutkiem, niepotrzebny odchodzę". Jednak nie „odchodzi", o czym świadczą dalsze wiersze „Łąki sowronków" o człowieku i jego pracy. Chociaż jeszcze gdzie niegdzie przebąknie desperacją, ale w wierszach takich jak: „Darłowo", „Most w Darłówku" i innych czuć wyraźnie nutę przezwyciężania oporu autora, co daje nadzieję, że potrafi się on wyleczyć z pesymizmu, różnych obciążeń i dawnej naleciałości. Lecz w jaki sposób znalazły się w tomiku te wcześniejsze wiersze, nie przynoszące autorowi sławy? One bowiem, mimo wszystko, nadają zasadniczy ton całemu tomikowi. Przez nie „Łąka skowronków" wisi niemal w próżni społecznej, skąd nie tyle słychać radosne świergotanie skowronków, ile krzykliwa rozpacz odizolowanego od życia człowieka — desperacko-mistycznego autora.

JÓZEF POGAN

*) *Jan Baranowicz, „Łąka skowronków". Nakładem ZLP, Oddział Śląski, Katowice, 1948 r*

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet.

Adres Administracji: Warszawa, ul. Wiejska Nr. 12 Adres Redakcji: Warszawa ul. Starynkiewicza Nr 7.
Tel. Red. Nacz. 727-86 Tel. Redakcji 751-80 do 89, wewnętrzny 23 i 97
Wyd.: SPÓŁDZIELNIA WYDAWN. - OSW. „CZYTELNIK"
REDAKCJA NIE ZAMÓWIONYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA.
Adres Prenumeraty i Ogłoszeń — Warszawa — Plac Trzech Krzyży 16

Warunki prenumeraty:
miesięcznie 100,—zł.; kwartalnie 300,—zł.; półrocznie 600,—zł.; rocznie 960,— zł Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa VII—1080/110 z zaznaczeniem „za tyg. „Wieś".

Drukarnia nr 2 Spółdz. Wyd.-Ośw. „Czytelnik". Marszałkowska 3/5
B-101495

FAKTY I ZDANIA

Oczekiwana książka

Nowa literatura realizmu socjalistycznego niełatwo się rodzi w tych pozycjach, które stawiają i rozwiązują konflikty naszego współczesnego życia, które wychwytują i pokazują rozwój świadomości klasowej szerokich mas, walkę przeżytków starego świata z nowymi formami życia społecznego. Nieliczne przykłady tej nowej literatury (ostatnio przede wszystkim szkice literackie Zaleskiego i Konwickiego) świadczą jednak o nieulegającym wątpliwości zwrocie pisarzy — szczególnie młodych — do najistotniejszych zagadnień dnia dzisiejszego. Społeczeństwo polskie niecierpliwie czeka na książki, które będą mu pomocą w budowaniu ustroju socjalistycznego. Z radością zatem sygnalizujemy książkę *Stanisława Wygodzkiego*. Jest to zbiór opowiadań, będący debiutem prozaicznym znanego poety. W najbliższym czasie ukaże się ta książka na półkach księgarskich. Dominującą cechą zawartych w niej opowiadań jest ich *partyjność*, ujawniająca się przede wszystkim w bezkompromisowej postawie ideologicznej autora, a także w specyficznej tematyce. Jest to ciekawy i dość rzadki jeszcze w naszej powojennej literaturze przykład zainteresowania *terenem partii* tzn. ideologicznym motorem napędowym przemian, które rodzą się w naszych oczach, zainteresowania układem losów działaczy robotniczych — przedwojennych K. P. P-owców i dzisiejszych aktywistów partyjnych.

Autor pokazuje jak rozwija się i potężnieje świadomość klasowa mas robotniczych, jak przebiega walka o oczyszczenie szeregów partyjnych z elementów oportunistycznych lub wrogich klasowo.

Walka o nowy, socjalistyczny humanizm, o pełną dojrzałość polityczną klasy robotniczej, o efektywne zrealizowanie sojuszu robotniczo-chłopskiego — oto konflikty, które Wygodzki wciela w kształt artystyczny w swoich opowiadaniach.

Spełniają one dwa podatkowe warunki, których tak często brak naszym pisarzom: doskonała znajomość zagadnień, o których się pisze i dojrzały, klasowy stosunek do tych zagadnień.

Książka Wygodzkiego stanowić będzie z pewnością cenny wkład do literatury, która nie tylko pokazuje prawdziwy obraz świata, ale i uczy jak go przekształcać. *H. K.*

Nie w plener — między walczących i budujących!

Nie dawno pisał T. Borowski w „Małej Kronice" o straszliwych plakatach rozwieszonych na stacjach kolejowych. Są to plakaty oświatowe i polityczne. Borowskiego słusznie uderzył częsty w nich brak realizmu, konkretności postaci i rzeczy, trywialność i sztampowość satyry. Rysownicy nie byli w terenie, nie mają w swoim malarskim doświadczeniu konkretnych modeli, sytuacji, przedmiotów. Ludzie w terenie oglądając plakaty, których funkcją jest przecież pomóc im w walce i pracy — uśmiechają się niejednokrotnie: „Widzita, jak to nas malują"? Borowskiego w tym oskarżeniu trzeba wesprzeć.

Wyjechali w teren pisarze. Po V Zjeździe Literatów stało się jasne, że jest to warunek konieczny dla każdego pisarza. Czas byłby aby zrozumieli go również malarze. Jest w Polsce kilkanaście szkół średnich i wyższych — plastycznych. Młodzieży studiującej ponad 2.000. Dlaczego to bractwo nie próbuje po miastach, po wsiach robić rysunków, w których zapisywałaby się plastycznie kronika nowej historii? Dlaczego nie wciągają się w wir toczonej walki klasowej? Co wiedzą o walczącym i budującym robotniku, o pracującym chłopstwie? Co my od nich mamy? Kiedy Marks pisał „18 Brumaira" Doumiere demaskował burżuazję i drobnomieszczaństwo w satyrze rysunkowej. Możnaby rzec — ilustrował Marksa.

Dobijać wroga, wydobywać nowe! Czy dyrekcje liceów i wyższych szkół plastycznych postawiły młodzież przed takim zadaniem na wakacje?

Bardzo jesteśmy ciekawi. 2.000 rysowników to armia. A kiedy trzeba ilustracji do pism literackich okazuje się, że na palcach ledwo policzysz kandydatów. Młodzież zamyka się w szkole nad modelami. W życiu z jej specyficzną bronią, ołówkiem i pędzlem, nie ma jej. Tę atmosferę trzeba przewietrzyć. *J. A.*

Życie gospodarcze i... literackie

Jakże pasjonującą lekturą może być dla pisarza „Życie gospodarcze". Przeglądam ostatni, 13 Nr. Sprawa naszych kadr. Kogo to w inteligenckich powieściach nie opisywano ale nie zauważono 7.000 inteligentów inżynierów w produkcji, a jeszcze bardziej 7.000 inżynierów w produkcji *nieobecnych*. Tej choroby inteligenckiej nikt z pisarzy nie odsłonił. Sprawa nadal jest otwarta. Wartoby wezwać czytelników, aby opisali znajomych inżynierów na stanowiskach administracyjnych; dlaczego to woleli trzymać „rząd dusz" w papierkowej robocie?

Wartoby za „Życiem gospodarczym" zwrócić uwagę pisarzom, działaczom kulturalnym i oświatowcom na upowszechniające się *narady wytwórcze* robotników. Jest to jedno z istotnych zjawisk ustroju prawdziwej demokracji. Tu, na naradach wytwórczych, młodzież ucząca się rozumienia roli Partii, roli klasy robotniczej w życiu Polski Ludowej — ujrzy najwyraźniej w robotniku *gospodarza* kraju.

Na miejsce dawnych burżuazyjnych i inteligenckich klubów towarzyskich powstają dziś i utrwalają się *robotnicze kluby racjonalizatorów*. Te przemiany społeczno-obyczajowe już się proszą o pióro, o korespondencje stałe i masowe.

Pisarze oglądają w dużych miastach, a bardziej jeszcze w małych miasteczkach zmieniający się pejzaż handlu detalicznego. Nikną sklepy i przedsiębiorstwa prywatne, jawią się nowe punkty zapotrzebowania na „społeczną dystrybucję detaliczną".

W tych przemianach zobaczyć można myśl, pracę i walkę samego terenu, rozwijające się ludowładztwo w każdym lokalnym ogniwie. Tu są tematy! Co najpierw ustępuje, w jakim procencie, co i dlaczego wydźwiguje się na głos istotnych potrzeb społecznych terenu? Ginie obraz miasteczek, przypominających lep na muchy, upstrzony niezliczoną ilością sklepików.

„Życie gospodarcze" warto studiować pisarzom. Doczytają się tam i bezpośredniego pod swoim adresem wezwania. „Aczkolwiek około 20 tysięcy robotników i pracowników technicznych zdobyło sobie tytuły przodowników pracy i aczkolwiek tylko w jednym 1949 r. zgłosiło około 13.000 wniosków racjonalizatorskich, które przyniosły państwu 7 miliardów zł. oszczędności, to jednak propaganda i wymiana doświadczeń prowadzona jest niemal wyłącznie i w wąskim zakresie przez prasę codzienną. Jest to nie tylko mało ale w pewnej mierze stanowi to zaprzepaszczenie olbrzymiego funduszu moralnego i materialnego, na który składa się realizacja twórczej inicjatywy mas pracujących, postępu i oszczędności.

Nie żartujmy z Życiem Gospodarczym! *P. Ch.*

O kobietach!

Szanowny Redaktorze!

Piszę do Was w takiej sprawie. Wiadomo nam wszystkim, że w marcu 1950 roku ukazała się specjalna Uchwała Biura Politycznego K. C. w sprawie pracy kobiet. Uchwała ta mówi o tym, że kobieta w państwie ludowym jest pełnowartościowym obywatelem. Mówił o tym zresztą już niejednokrotnie i Prezydent Bierut przy różnych okazjach, pisze o tym prasa codzienna.

Najmniej jednak wypowiadają się w tej sprawie kobiety. Wprawdzie coraz spotykamy nazwisko kobiety, przodownicy pracy, pierwszej kobiety w takim czy innym zawodzie, kobiety działaczki na terenie wsi, jednak naogół mało mówimy o udziale kobiet, szczególnie wiejskich, w życiu gospodarczym, społecznym i politycznym. Nie znamy postaci i drogi awansu kobiet wiejskich, które borykając się z nędzą w okresie międzywojennym, dzisiaj, doceniając ustrój demokracji ludowej same stanęły do walki o lepsze jutro wsi i kraju.

A przecież takich kobiet jest wiele w naszym kraju, znajdziemy je w każdej gromadzie.

Wydaje mi się słusznym, by redakcja „Wsi" zainteresowała się tą sprawą i zamieściła na łamach swego tygodnika szereg sylwetek kobiet wiejskich, zamieściła oryginalne wypowiedzi charakteryzujące ich życie, pracę, trudności w niej i osiągnięcia.

Ciekawe szczególnie byłoby zamieszczenie przez Was wypowiedzi kobiet, wójtów, sołtysów, przewodniczących Rad Narodowych, prezesów Z. S. Ch., sekretarzy partyjnych i organizacyjnych, przewodniczących kół gospodyń Z. S. Ch., kierowniczek grup producentów itd.

Ich wypowiedzi i życiorysy pozwoliłyby na uchwycenie drogi, walki życiowej, społecznej i politycznej tych kobiet, a tym samym wzbogaciłyby naszą publicystykę obrazami nowych ludzi, ludzi o socjalistycznym podejściu do pracy i życia.

Pokazałyby kobietę równouprawnionego obywatela, którym jak dotychczas nasze piśmiennictwo zajmuje się jeszcze stale za mało.

Zebranie takich wypowiedzi i zamieszczenie ich przez Was, nie tylko byłoby chętnie przyjęte przez czytelnika, ale z jednej strony zawarty w nich przykład pomógłby niejednej kobiecie w jej włączaniu się do twórczej, rewolucyjnej pracy, z drugiej strony może stałyby się bodźcem dla naszych pisarzy do napisania cyklu reportaży czy nawet powieści, których tematem byłaby kobieta, jej życie i praca.

Józef Jezierski
pow. Włoszczowa

Wykorzystać wakacje

Do redakcji „Wsi" napłynęła wiele listów, w których nasi korespondenci przedstawiają sytuację świetlic wiejskich. Z listów tych można dowiedzieć się, że sytuacja ta nie zawsze dobrze się przedstawia. Najczęściej wysuwanym powodem martwoty świetlicy w określonej wsi jest brak ludzi, którzy by chcieli goręcej się przyłożyć do pracy kulturalno - oświatowej. Są narzekania, że często nawet aktywiści partyjni nie bardzo interesują się świetlicą, nie doceniają jej ważności jako *narzędzia* w przekształceniu świadomości społeczno - politycznej drobno i średniorolnych chłopów. Oczywista, że są to źli partyjnicy, bo martwota kulturalna to najlepsza pożywka dla wroga klasowego, to miejsce, w którym najłatwiej on się okopuje. Szybkość przemian społeczno - gospodarczych na wsi jest uzależniona i od tego, w jakim nasileniu będzie rozwijała się tam praca kulturalno-oświatowa. Tysiące młodzieży wiejskiej ze szkół średnich i zawodowych będzie spędzało wakacje w swoich wsiach. Młodzież ta choćby w tym krótkim okresie może walnie się przyczynić, by pchnąć u siebie robotę kulturalną, ożywić wiejskie koła ZMP., skupić wokół siebie ludzi, którzy, zachęceni przykładem, dobrym wzorem, później już sami będą garnęli się do świetlicy i przyciągali innych. W tej sytuacji może kilka sąsiednich gromad pomagać sobie wzajemnie. Uczniowie z wyższych klas w tych gromadach mogliby urządzać wymienne odczyty i pogadanki, mogliby wspólnie urządzać wieczory dyskusyjne, poświęcone aktualnym zagadnieniom czy literaturze, wreszcie, jeżeli nie ma na ich wsiach zespołu amatorskiego, mogliby przygotować sztukę przy pomocy miejscowych sił i objechać z nią swoją gminę. Swoją wiedzę, swoje społeczne doświadczenie, młodzież ta niech już teraz przekazuje własnej wsi. Uczniowie wiejscy, ZMP-owcy, wakacje dla was to więcej we wsi przeczytanych książek, wysłuchanych referatów i oglądanych sztuk!

M. K.

Dwie wizje

Że pisarstwo rodzi się nie tylko z talentu i uczucia, świadczą o tym dwa wiersze, które znalazły się na naszym redakcyjnym stole.

Oto wiersz pierwszy:

Widzimy znowu przepiękne ulice,
I nowe domy i nowe dzielnice,
Stoją pomniki
Znów wszystkich zachwyca
Pomnik Kopernika, dalej
Mickiewicza,
Król Zygmunt znowu,
Wznosi głowę dumnie,
Stojąc wysoko na swojej
kolumnie.
Jak pięknie wygląda rynek
Marienszztacki,
Na środku pomnik przekupki
warszawskiej,
A dalej znowu tak jak okiem
sięga,
Wije się Wisły naszej szarej
wstęga,
Przez mosty biegnie codzień
ludzi fala,
Warszawa czaruje,
Warszawa zniewala.

Co zobaczył autor w nowej Warszawie? Jej zewnętrzną powłokę. Ulice, domy, pomniki no i oczywiście Wisłę. Nie zobaczył zupełnie ludzi (wyjąwszy fale ludzkie — jako ornament dla mostów). Warszawa wyrasta u niego sposobem bliżej nieznanym (Feniks z popiołów!), niemal nadprzyrodzonym! Nie zobaczył pracy i walki. Olśnił go ich zewnętrzny rezultat! Kto ten wiersz napisał? Sięgamy do „listu do redakcji" oczywiście , drobnomieszczanin („pochodzę z bardzo skromnej rodziny") — odstawiony na bocznicę wielkich przemian — były Warszawiak, obecnie tęskniący z Torunia.

A oto wiersz drugi:

Gdy jeszcze grzmiały strzały
w Berlinie,
Tyś się do życia budziła
Stanęli ludzie przy każdej
maszynie,
By praca cię ludu zrodziła.
Stuknęły młoty, kielnie i łopaty
Skruszyły się murów ruiny,
Zniknęły ghetta i Pawiaka kraty
Ślad ras i klas... burżujskie syny.
I dziś Warszawo, stajesz już
piękną,
Piękniejszą niż byłaś przed laty,
Bo lud twój spieszy z pomocą
chętną,
Z fabryk, kopalń i chłopskiej
chaty.

Ten wiersz napisał młody chłop-działacz. Temat ten sam — a jednak... osądźcie czytelnicy!

H. W.

SPROSTOWANIE

W nrze 25 „Wsi" omyłkowo wydrukowano wiersz J. Nagrabieckiego bez zakończenia, za co niniejszym redakcja przeprasza autora, cytując w całości ostatnie strofki:

W rytm okrętowych syren, wstających jak patos słońca,
Szczecin, Gdynia i Gdańsk — to są mocni ludzie,
to są ludzie twardzi w szczęśliwą wpatrzeni przyszłość.
Morze wabi mewy bez końca,
szumem powiewa swoim
lub jak słup soli stoi.

Ale rybakom na kutrach płynącym na połów,
marynarzom na rejach falującym w dal,
robotnikom portowym ładującym skrzynie
nie wystarcza urok morza, fala, która chodzi
po morzu koralowym, morzu z lśniącej stali,
morzu pełnym żagli, motorowych łodzi —
dopóki stoi chociaż jeden wagon z ładunkiem na szynie.

JAN NAGRABIECKI